

● MÓWI AUTOR POMNIKA BIERUTA W LUBLINIE ● DRAMAT POD
 KRAŚNIKIEM ● WOJNA NA MURACH ● CZWARTY ROZBIÓR POLSKI
 ● LUDOWCY ● LUBELSKA WALENTYNOWICZ ● CO O ŚWINI WIEDZIEĆ
 TRZEBA ● PROGRAM TV

TYGODNIK
 WSCHODNI

PL ISSN 0000-0000

relacje

LUBLIN, 31 VIII-6 IX 1989 R.

NR 33

CENA 120 ZŁ

TY ŚWINIO!

Zbligniew Dzięciołek

ŚWIŃSKI rynek leży i kwiczy. Prasa bije na alarm, rząd wprowadził tek zwane urynkowanie (diabeł ubrał się w ornat i ogonem dzwoni na mszę), a świnie pochrzają zgodnym chórem, że dłużej „ba(er)ona” robić z siebie nie pozwolą. I mają rację. „W temacie” wieprzowiny bowiem już od lat trwają rządowe dyskusje i polemiki, których efektów nie trzeba opisywać. Świnia jaka jest, każdy widzi. Rąbanką słowną jeszcze się nikt nie najadł, a opowieści z cyklu „rząd sam się wyżywi” schowałbym raczej głęboko do lamusa.

Nie wszyscy jednak rozumieli, że w magicznej formule — mięso jest, tylko go nie ma — nikt już nie uwierzy. Oto po dwóch tygodniach „urynkowania” usłyszałem w telewizji, że w Lublinie został rozbitły monopol (chyba spirytusowy, bo wódkę wymiotło z półki do czysta). GS zaczęły skupować świnie dla siebie, a nie dla Zakładów Mięsnych, dotychczasowego monopolisty na Lubelszczyźnie. Pani, która przekazała tę informację, zapomniała jednak dodać, gdzie można kupić wieprzowinę z tego „rozbita”. Toteż zamiast wysłuchiwać radosnych oświadczeń, płynących ze szklanego ekranu, przyjrzyjmy się faktom.

ŚWIŃSKI REKONESANS

Zacznijmy od teorii. W Polsce dominują pięć ras świń: wielka biała polska, polska biała zwisłoucha, złotnicka biała (występująca w Poznańskim) i dwie pasy kolorowe: rasa puławska (wyhodowana na Lubelszczyźnie i od 1952 r. stale udoskonalana przez prof. Zygmunta Surdackiego z AR w Lublinie, w kierunku prawie mięsnym) oraz złotnicka pstra (hodowana w pin.-wsch. części woj. olsztyńskiego). Wprawdzie daleko nam jeszcze do europejskich osiągnięć (wielka biała angielska czy szwedzka krajowa — landrace), ale — jak twierdzi prof. Surdacki — przy odpowiednich warunkach chowu jesteśmy w stanie zapewnić ciągłość podaży na rynku krajowym, a znaczne nadwyżki wysyłać na eksport (proszę się nie denerwować, to tylko teoria).

Wielką zaletą świńskiej rodziny jest wszystkożerność. W przeciwieństwie do bydła, które „skazane” jest na pasze roślinne, świnia oprócz odpadków z przemysłu spożywczego (maślanka, serwatka) zjada również resztki z żołądków ubitych zwierząt, nie gardząc także odpadkami drobiowymi i rybnym chwastem. Wbrew obiegowym opiniom, świnia prowadzi najbardziej racjonalną gospodarkę żywnościową ze wszystkich zwierząt domowych. Zużywa najmniej paszy na 1 kg przyrostu, co w obecnej sytuacji polskiego rolnictwa ma niebagatelne znaczenie. Musi to być jednak pasza wysokobiałkowa, czego nie zapewnią tradycyjne skarmianie świń ziemniakami, zawierającymi nie więcej jak 8 proc. białka. (W Polsce zużywamy paszę 3-krotnie droższą i 2-krotnie mniej wydajną niż na Zachodzie).

Dokończenie na str. 12—13

DER SPIEGEL



Repr. Waldemar Stepien

Okladka tygodnika „Der Spiegel” — w tle słynna mapa podziału „stref interesów” Niemiec i ZSRR z podpisami Stalina i Ribbentropa.

„GRANICA NA OŚMIU RZEKACH” — str. 3 | 14

relacje

ZE ŚWIATA

● Po wyborze Tadeusza Mazowieckiego na premiera PRL napłynęły do Polski liczne depechy gratulacyjne. Wśród pierwszych, którzy nadesłali życzenia Tadeuszowi Mazowieckiemu, były rządy ZSRR, NRD, Węgier, Belgii, Austrii, Chile i USA.

● Jurij Griemnickich, zastępca rzecznika radzieckiego MSZ, w odpowiedzi na pytanie dziennikarzy, dlaczego telegram gratulacyjny do premiera Mazowieckiego został podpisany przez Radę Ministrów ZSRR, a nie przez premiera Ryżkova, stwierdził, że objęcie formy są przyjęte w ZSRR, mają jednakowe znaczenie i wyrażają jednakowy stopień szacunku.

● Nominacja i wybór przez Sejm na premiera osoby Tadeusza Mazowieckiego stały się tematem pierwszych stron gazet europejskich i amerykańskich. Oto niektóre opinie:

Brytyjski „Guardian”: „Desygnowany na premiera T. Mazowiecki spotyka się z wielu stron z dobrą wolą, być może dlatego, że jego zadanie jest niewdzięczne, a problemy społeczne i gospodarcze tak wielkie, ale napotyka też na wrogłość z wielu kierunków. Według niektórych doniesień, początkowo nawet L. Wałęsa był przeciwny jego nominacji”.

Amerykański „New York Times”: „Brzemienne milczenie Kremla jest odbierane jako cicha zgoda na nową polską rzeczywistość. Ale nie oznacza to obojętnego stosunku: Moskwa domagała się i otrzymała zapewnienia, że nowy polski rząd zachowa więzi z nią, a zwłaszcza z Układem Warszawskim. Ostrzegła Zachód, by nie starał się wykorzystywać sytuacji w Polsce dla własnych korzyści, wyraziła poważne zaniepokojenie sytuacją w Polsce”.

Francuski „Le Figaro”: „Pierwszy rząd bez komunistów, jeśli taki powstanie, może w najbliższej przyszłości potknąć się na kryzysie społecznym i gospodarczym”.

Zachodniemiecki „Frankfurter Allgemeine Zeitung”: „Jedno jest pewne: ani komunisty polscy, ani ich przeciwnicy z „Solidarności” nie wdali się w ryzyko wielkiej koalicji bez najwyższej potrzeby”.

Radzieckie „Izwiestia”: „Powierzenie funkcji premiera politykowi-niekomunisty jest zasadniczym przełomem w powojennej historii Polski. Czy oznacza to, że obecnie zaczyna się proces bezmyślnego niszczenia wszystkiego i wszystkich? Wydaje się, że nie. I nie tylko dlatego, że PZPR zachowa stanowiska ministrów obrony i spraw wewnętrznych i że wszystkie strony zgodziły się wypełniać postanowienia Okrągłego Stołu, które stały się fundamentem dla całej polityki porozumienia narodowego. Najważniejsze polega na czym innym. Rozpoczyna się etap demokracji parlamentarnej, kiedy sympatie społeczeństwa skłaniają się będą ku tym, którzy będą mieli lepsze rozwiązania”.

Jugosłowiańska „Berba”: „Nie ma potrzeby odwoływać się do wielkich i bombastycznych słów. Wystarczy świadomość, że Polacy zapisują w tych dniach po prostu nową kartę swojej i światowej historii”.

Praskie „Rude Pravo”: „Ostatni gwóźdź do trumny socjalizmu w Polsce”.

● 320 obywateli czeskosłowackich i 50 cudzoziemców zatrzymano w Pradze w czasie demonstracji z okazji 21 rocznicy interwencji w Czechosłowacji wojsk Układu Warszawskiego.

● Po zamknięciu placówek dyplomatycznych RFN w NRD i na Węgrzech nieczynna jest także praska ambasada tego kraju. Powód: masowe zgłoszenia obywateli NRD chęci wyjazdu do Republiki Federalnej Niemiec.

● Podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy węgiersko-austriackiej zginął obywatel NRD. Na Węgrzech przebywa obecnie ok. 200 tys. turystów egerdowskich.

● Od początku bieżącego roku przesiedlono się z NRD do RFN 60 tys. ludzi; z tego 50 tys. nielegalnie.

● Ustosunkowując się do problemu uchodźców z NRD, kanclerz zachodnio-

niemiecki, Helmut Kohl, stwierdził, że reformy we wschodnich Niemczech, na kształt polskich czy węgierskich, położyły by ład temu zjawisku.

● Jeden z czołowych ideologów NRD, Otto Reinhold, powiedział, że tego typu przeobrażenia oznaczałyby kres istnienia jego kraju, bo jak sens „miałoby istnienie kapitalistycznego NRD obok kapitalistycznego RFN?”.

● Władze tureckie zamknęły granicę z Bułgarią, wstrzymując dalszy exodus Turków bułgarskich.

● Premier Ukrainy, Witaj Masol, poinformował, że trwają prace przygotowawcze do przestawienia republiki na zasady samostanowienia i samofinansowania. Niedawno autonomię gospodarczą przyznano republikom nadbałtyckim.

● Prasa radziecka ujawniła, że ZSRR wysłała na orbitę okołoziemską pięćdziesiąt więcej satelitów niż USA. Coraz poważniejsze stają się głosy o ograniczeniu wydatków na badania kosmiczne i zorientowaniu radzieckiego programu lotów.

● W wyniku wybuchu reaktora w czarnobylskiej elektrowni atomowej ekspona została trzecia część Białorusi i jedna trzecia jej użytków rolnych. Konieczne jest przenieście jeszcze ok. 100 tys. ludzi, co wymagać będzie wydania ponad 10 mld rubli, tyle ile w przybliżeniu wynosi roczny budżet Białorusi.

● Utworzona w marcu Komunistyczna Partia Węgier, której założyciele uważają, że Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza odrzuciła ideały komunizmu, przemianowała się na Marksy-stowsko-Leninowską Partię Robotników.

● Hciążący deficyt płatniczy Węgier osiągnął od początku roku — 990 mln dolarów.

● Rozpoczęły się przesłuchania sądowe siedmiu byłych wysokich funkcjonariuszy kubańskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

● Sąd pekiński wymierzył karę dożywotniego więzienia za zniszczenie portretu Mao.

rowane przede wszystkim do naszego klubu.

● Występując przed kamerami telewizyjnymi, wicepremier Ireneusz Sekula powiedział: „Nowy rząd będzie korzystał z krótkiego okresu młodowostwa, pewnej wyromianialości, oczekiwań, nadziei. Z całą pewnością będzie się cieszył wielkim zaufaniem społecznym, a więc ma większe szanse. Ale zaufanie jest zbyt kruchym fundamentem, by mogło rozstrzygać o jego pełnym sukcesie”.

● „To nie PZPR powinna zabiegać o miejsca w rządzie, lecz Solidarności powinno zależeć na wciąganiu do rządu odpowiedniej liczby przedstawicieli partii” — powiedział prof. Marcin Gajczyński w rozmowie z dziennikiem „Życia Warszawy”. Marcin Gajczyński jest autorem książki „Dla czego komunizm?”.

● „Być może pozostał nam jeszcze krok do przepaści. Być może możemy mówić o sytuacji przedkryzysowej, a nie kryzysowej, ale to nie zmienia istoty rzeczy. Czasu zostało nam już bardzo mało. Do chwili, kiedy rozpocznie się rewolucja od dołu, został rok, może półrocze” (Borys Jelcyński o sytuacji politycznej w ZSRR w wywiadzie dla „Reportera”).

● „Powstała myśl, że wszyscy pokazali się chęć społeczeństwu jako opozycja wobec rządu, czyli tak nie tylko opozycja, ale — znacząca — część partii, stronnictwa itp. Wszyscy pragną władzy, ale wszyscy chcą i mieć władzę i być opozycją. Jeśli te postawy się utrwały, sytuacja się kompromitacja demokracji, ma się gwałtownie pogłębiać. Władza społeczno-polityczna zmoczy się tym chaosem — redukcja na chorą demokrację i jej upadek” (Jerzy Urban o sytuacji politycznej w Polsce w wywiadzie dla „Kontrowersji”).

● W Polsce przebywał minister religii Izraela, Zevulun Hammer.

● Po wyborze premiera i apelu Lecha Wałęsy opadała nieco fala strajko-

wa. Zawieszili akcje protestacyjne kolejarze i górnicy.

● Federacja Związków Zawodowych Hutników wystosowała apel o półroczne moratorium strajkowe.

● 15 posłów Klubu Parlamentarnego PZPR złożyło na ręce marszałka Sejmu wnioski w sprawie usunięcia z Konstytucji zapisu o kierowniczej roli PZPR.

● Od 1 września wszystkie przedsiębiorstwa przemysłu zbożowo-młynarskiego przechodzą pod kontrolę wojewodów.

● Cena kostki masła osiągnęła 1000 złotych. Bilety MPK zdrożały do 60 złotych. Cena żyta 1 kg głowy świątecznej — 200 złotych.

● Polak Joachim Hahupczok zdeklarował rywali, zdobywając tytuł amatorskiego mistrza świata w kolarstwie w francuskiej miejscowości Chambéry.

● Mistrzostwo świata w motorowodniczej klasie OA zdobył Włademar Maczek.

● Medalowymi sukcesami zakończyły się występy pływacy na Mistrzostwach Europy i kajakarze w Mistrzostwach Świata. Tymczasem wysoko kwalifikowani (finansowo) górnicy postawili się nad sobą w rozgrywkach I-gowych. Na razie nie nowy nie uciekli z granicy; potęgi wiozące kibiców, o dziwo, dojechały z całymi szymbami. Motor Lublin zwyciężył 9:0 z Olimpią Poznań.

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Wszystkie programy ubiegłego tygodnia, z wyjątkiem może „Woodstock” i I części „Ucieczki z Sobiboru”, zostały przytłaczone przez wydarzenie polityczne, jakim był niewątpliwie wybór Tadeusza Mazowieckiego na premiera PRL.

Włodek Gosa, gościa, 1. 43, Lublin: — Podobnie jak to miało miejsce w przypadku głosowania na prezydenta PRL, również wybór premiera wzbudził ogromne zainteresowanie. Ludzie albo „urywali się” wcześniej do domów, albo skupiali przed telewizorami tam, gdzie było to możliwe. Głódki wybór — bo tak można nazwać decyzję parlamentu — powinien uzmysłowić wszystkim, że kandydatura Tadeusza Mazowieckiego cieszy się aprobatą społeczeństwa. Powinni o tym pamiętać wszyscy, którym obecne zmiany są nie w smak. Gdyby przydarzyło się coś temu człowiekowi, odbudowanie wiary Polaków w swoją przyszłość narodową stałoby się niemożliwe. Podoba mi się skromność pana Mazowieckiego i jego pełen siły spokój. Po wyborze stał długo z pochyloną głową, przed parlamentem, a więc i przed narodem, tak jak premier powinien. Nie ma w nim arogancji i powierchowości poprzedników. Muszę także przyznać, że PZPR zaczyna zbierać pozytywne punkty. Wypowiedź profesora Orzechowskiego, którego bardzo cenię — pełna była godności i powagi. I tylko ten nieszczęśliwy telefon Rakowskiego...

T. R. adwokat z Zamścia, lat 53 (nazwisko do wiadomości redakcji):

— Pyta mnie pan o wydarzenie telewizyjne. Rzecz jasna — wybór Tadeusza Mazowieckiego. Co o tym myślę? Od dzisiaj (niedziela 27.08. — przyp. red.) zaczyna mi się to nie podobać. Do Polski przybywa szef KGB (bezpieczeństwo państwowe ZSRR). Czyby bezpieczeństwo naszego sąsiada zostało zagrożone? Pan Mazowiecki to kandydat na polskiego Dubczeka. Nikt w historii nie oddał jeszcze władzy bez walki. Telewizja, nadal kontrolowana przez PZPR, nie mówi nic o jego rozmowach o odmówienie sfornowania nowego rządu. Pokazuje go tylko, jak uczestniczy we mszy. Uda nie się przez Rakowskiego „po pomoc” zaczyna powoli przynosić efekty.

Elżbieta Krausz, pracownik AB w Lublinie, na urlopie wychowawczym, lat 22: — Jeszcze nigdy dotąd nie interesowałam się tak bardzo tym, co rozgrywało się wokół nas. Słucham posiedzeń Sejmu i oglądam wszystkie programy informacyjne TVP. Polsce potrzebny jest teraz drugi Piłsudski. Pan Mazowiecki z pewnością nim nie jest. Ujrzelśmy człowieka zmęczonego, ostrożnego, flegmatycznego; człowieka, którego polityka wynosi w obszary mu nieznanne. Widzę w nim ogrom dobrej woli, ale chyba zbyt mało siły. A „pochody” już się zaczynają.

Pracownik WUSW w Lublinie, lat 40 (prosił o anonimowość nie ze względu — jak to ujął — na charakter swej wypowiedzi, lecz na obowiązujący poza służbową hierarchią i bez porozumienia z rzecznikiem prasowym): — Wbrew obowiązującym stereotypom, coraz większą grupą pracowników naszego resortu kieruje się wyłącznie zasadą pracy dla dobra państwa i narodu. Mnie osobicie nie bardzo interesują przepychanki polityczne. Charakter mojej pracy polega na ściganie przestępców. Nie odczuwam więc powołania pana Mazowieckiego na stanowisko premiera jako szoku. Jego sposób bycia i charakter pierwszych wypowiedzi wydają mi się godne i uczciwe. Jest premierem naszego rządu i wszystkie siły na pewno wykażą się wobec niego lojalnością. Jestem członkiem PZPR i wcale nie widzę partii jako siły „pogrzebanej” czy znajdującej się w rozrypcie. Jeśli tylko wytyczy ona nowy program i postawi na swoim ciele nowych ludzi, będzie skutecznie rywalizowała z innymi siłami politycznymi. Ogromny swans społeczny, jaki się dokonał w Polsce po wojnie, jest wśród robotników i chłopów w cenie. Nikt lekceomyślnie nie rzucił się w objęcia kapitalizmu. Ten prawdziwy, nie sprzeniewierzony dorobek lewicy jest jej ogromną siłą. Przy czym do lewicy zaliczam także bardzo duże odłamy „Solidarności”. A Tadeuszowi Mazowieckiemu życzę powodzenia.

relacje

Z KRAJU

● Sejm PRL powołał Tadeusza Mazowieckiego na premiera głosami 378 posłów. 4 posłów było przeciwnych, 41 wstrzymało się od głosu.

● Nowy premier złożył wizytę prezydentowi Wojciechowi Jaruzelskiemu. Rozmawiał telefonicznie z papieżem Janem Pawłem II.

● I sekretarz KC PZPR Mieczysław Rakowski odbył 40-minutową rozmowę telefoniczną z Michaiłem Gorbaczowem.

● Premier Tadeusz Mazowiecki przyjął gościnnie w Polsce Witaję Krużniewską, przewodniczącą Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. W trakcie wizyty, w obecności gen. Czesława Kłaczaka, szefa radzieckiego KGB oświadczył, że nominacja Tadeusza Mazowieckiego została „ciepło przyjęta w Moskwie”.

● Z sejmowego wystąpienia premiera Mazowieckiego: „Rząd, który utworzę, nie ponosi odpowiedzialności za hipotekę, którą dziedziczy. Ma ona jednak wpływ na okoliczności, w których przynależy nam działać. Prześniadę podkreśliam grubą linią. Odpowiedzcie będziemy jedynie za to, co uczyniliśmy, by wycofać Polskę z obecnego stanu zalamania”.

● Z konferencji prasowej premiera: „Ten rząd będzie mówił społeczeństwu prawdę, również trudną prawdę”.

● Ze spotkania z członkami Klubu Parlamentarnego PZPR:

— Jaki jest pana stosunek do PZPR — czy jako do członka opozycji czy koalicji?

— Pytanie takie powinno być dzie-

OGŁOSZENIA

BIURO wynajmu lokali 200-42
10056/G-3
OLIMPIA poleca miłośnikom matrymónias. Lublin 17 str. 28.
10007/G

List z Warszawy

TADEUSZ Mazowiecki nie jest oratorem, mówi z pewną treścią i nieefektywnie. Dając do przeczytania i ogólnego wyrażenia myśli, opóźnia niekiedy ich formułowanie, co może mieć wpływ na jego szanse jako polemisty w publicznych dyskusjach. Jest raczej typem polityka sztabowego niż trybuna; ci, którzy znają go bliżej, twierdzą, że to on właśnie — pozostając w cieniu — obmyślił instytucjonalne ramy dla protestu w 1980 r., współtworzył program „Solidarności” i w ogromnej mierze przyczynił się do jej legalizacji.

Kiedy 24 bm. przybył na posiedzenie Sejmu, czekało nań ok. 900 dziennikarzy, z czego kilkudziesięciu z prośbą o wypowiedź lub wywiad. Tego dnia porównywalne wzięcie u dziennikarzy miało w parlamencie jedynie czterech posłów, głoszący przeciwko kandydaturze T. Mazowieckiego oraz Jerzy Urban, nad którym pastwili się nieudolnie Aleksander Bentkowski z ZSL i Jan Janowski z SD. Doprawdy, mało kto przypuszczał, że już podczas X kadencji parlamentu jakkolwiek prezes Rady Ministrów będzie mógł uzależniać swe decyzje i poczynania raczej od zapatrywani członków KKW „Solidarności” niż opinii Biura Politycznego KC. Radykalna zmiana układu władzy, która miała się dokonać za cztery lata, odbyła się już teraz. W przewidzianym natomiast terminie dochodzi do formowania rządu wielkiej koalicji, tyle że na czele tego gabinetu stoi polityk z „Solidarności”.

Nowa jakość ustrojowa, jaka powstaje na naszych oczach, oznacza zarazem definitywne rozstanie PZPR z ZSL i SD i zawiązanie nowego triumwiratu, na którym jednak partia chłopska i demokratyczna wyjdą dużo gorzej niż ich liderzy na zdjęciu z Lechem Wałęsą w Łazienkach. Sądzę, że już wkrótce nowy sojusz przyniesie zasadnicze zmiany w kierownictwach obu formacji (do czego zapewne przyczynią się ich kluby parlamentarne wspólnie z OKP), a także zapoczątkuje proces tworzenia się zupełnie nowej partii chłopskiej, którą zdominują członkowie NSZZ RI „Solidarności” i zwolennicy formuły PSL-owskiej.

Abstrahując od moralnych ocen decyzji ZSL i SD, zastanowić się jednak należy, czy ich krok — traktowany jako wyjątkowo koniunkturalny — nie był przypadkiem także rozpaczliwą i spóźnioną próbą ratowania własnej tożsamości i zaakceptowaniem przegranej w wyborach, a więc — czy nie wynikał również ze zrozumienia logiki systemu parlamentarnego?

Nowa sytuacja istotnie zmienia pozycję Polskiej Zjednoczonej Partii Ro-

botniczej (i — co bardzo istotne — jej I sekretarza) w państwie i parlamencie oraz w oficjalnych kontaktach z przywódcami innych krajów. Ta część jej kierownictwa i wpływowych członków, która doprowadziła do legalizacji „Solidarności” i Okrągłego Stoła, czuje się nieco zawiedziona, gdyż — po niepowodzeniu misji Cz. Kiszczaka, wolecie partii sojusznicych oraz desygnowaniu T. Mazowieckiego — „zachwianiu uległa, jej zdaniem, ewolucyjna konstrukcja procesów przemian w kraju”.

Zapewne, premier z odmiennego „portfela ideologicznego” oraz zmiana układu sił w Sejmie oznaczają zerwanie kontraktów zawartych przy Okrągłym Stole i nieśmiałą groźbę żywiołowego rozwoju procesów wewnętrznych w Polsce. Niemniej, gdy patrzy się na te wydarzenia bez emocji, wyraźnie widać, że są one następstwem

Paradoksalnie, najtrwalsze okazały się więzy PZPR z ugrupowaniami katolickimi i chrześcijańskimi (PAX, UChS, PZKS), chociaż są to organizacje na tyle „kieszonkowe”, że ich odejście z komisji współdziałania nie zmieniłoby już w niczym powstałej właśnie konstelacji politycznej, z czego zresztą Z. Komender, K. Morawski i W. Gwiżdż znakomicie zdają sobie sprawę, licząc, że przy boku ateistycznej partii światopoglądowy wizerunek i

obecność członków PZPR w koalicyjnym rządzie jest obiektywnie niezbędna. Być może ta konstatacja wyda się niektórym członkom partii nie do przyjęcia, bo akceptuje skazanie ich organizacji na odgrywanie drugorzędnej roli w nowym gabinecie i strukturach państwa, ale w takim razie warto przypomnieć, że w systemach demokratycznych — w przeciwieństwie do totalitarnych — nikt nie przegrywa wszystkiego i ostatecznie, powroty są możliwe, a żaden układ władzy nie jest układem absolutnym.

Rząd z „solidarnościowym” premie-rem postawi w niezwykle kłopotliwej sytuacji Krajową Komisję Wykonawczą i Obywatelski Klub Parlamentarny. Z jednej strony — KKW i OKP będą starały się popierać decyzje i poczynania nowego gabinetu, z drugiej — godnie to poparcie z rozczuleniami i protestami swoich wyborców, co czę-

UKŁAD POLSKI

Maksymilian Miłgoń

przyzwolenia partii komunistycznej na pluralizację życia politycznego i społecznego, na system demokracji parlamentarnej, a to implikuje z kolei zgodę na ponoszenie wszystkich konsekwencji tego stanu rzeczy.

O ile pewnemu rozczarowaniu reformatorów w partii towarzyszy jednocześnie zrozumienie skutków nowych reguł gry i rozważań instytucjonalnych oraz ich milcząca akceptacja, o tyle konserwatywne i populistyczne skrzydło PZPR jest wrocie temu, co stało się w Polsce w ostatnich dwóch tygodniach. Wprawdzie nie mogłem przysłuchiwać się dyskusji na XIV Plenum, bo — jak większości dziennikarzy — cofnięto mi w ostatniej chwili akredytację, ale z przeczutek z obrad wiem, że kilku członków KC jednoznacznie klasyfikuje ostatnie wydarzenie jako „przewrót polityczny”, opowiadając się za zachowaniem przez partię — środkami pozaparlamentarnymi — monopolistycznej pozycji w państwie.

Tendencje do przywracania stanu ex ante zagrażają procesowi integracji PZPR po klęsce wyborczej, utrudniają jej ideową i organizacyjną identyfikację, a mogą też przeszkodzić w sformowaniu „rządu odpowiedzialności narodowej” bądź skompromitować jego funkcjonowanie jako gabinetu wielkiej koalicji.

Sprawa udziału członków PZPR w rządzie T. Mazowieckiego wydaje się już przesądzona (w czwartek w ku-

programy społeczne ich ugrupowań będą bardziej wyraźne niż w warunkach samodzielnej egzystencji bądź pod patronatem „Solidarności”.

W sferze oddziaływania PZPR znajduje się też PRON, kłopot jednak w tym, że obecnie trudno właściwie ocenić faktyczne woływy ruchu, liczebność jego klienteli, więc i siłę poparcia, jakiego może uzyskać. Równie problematycznie przedstawiają się możliwości współdziałania PZPR z OPZZ, najliczniejszą na razie w Polsce centralą związkową. Konflikty będą wyrażać przede wszystkim z odmiennych ocen posunięć koalicyjnego rządu oraz z pogłębiających się różnic ideologicznych między proreformatorskim odłamem PZPR a wyznawcami radykalnego populizmu, usadowionymi we wszystkich strukturach porozumienia.

Mimo tych nie najlepszych dla partii rokowań, trzeba jednak pamiętać, że w wyborach do Sejmu i Senatu głosowało na jej reprezentantów 25 proc. elektoratu, a znaczna część członków PZPR ma — na razie — decydujący wpływ na bieg spraw w państwie i rozległe kontakty z zagranicą, posiada wysokie kwalifikacje zawodowe, duże doświadczenie i umiejętności polityczne, liczne — wbrew pozorom — powiązania ze środowiskami opiniotwórczymi i niezależnymi, które nie są reprezentowane ani w OKP, ani w Komitecie Obywatelskim.

Wyliczanka ta nie ma charakteru przestrogi, uświadamia jedynie, że

stokroć oznaczać będzie łączenie ognia z wodą. Konflikty tego typu zaostrzą podziały w „Solidarności” i przyspieszą wyodrębnianie się z niej nurtu związkowego oraz partii i stowarzyszeń. Nie wykluczone, że dojdzie do połączenia populistycznych frakcji obu central związkowych.

Dalszy rozwój sytuacji w kraju uzależniony będzie oczywiście od skuteczności reform gospodarczych, stanu rynku oraz stosunków między rządem a organami administracji państwowej w terenie, przestraszonymi możliwością przyspieszenia wyborów do samorządu terytorialnego. Miarą lojalności członków koalicji rządowej wobec siebie stanie się wola i stanowczość w pacyfikowaniu radykałów we własnych szeregach, miarkowaniu żądań socjalno-placowych, łagodzeniu propagandowych ataków.

Na razie jednak gramy jeszcze wedle starego scenariusza, a kryzys obejmuje miejsca dotychczas niedostępne. Kiedy do kiosku w Sejmie rzucą zapalki — co zdarza się sporadycznie — parlamentarzysty formują tasemcową kolejkę. W takich momentach część władzy przechwytywa kioskarka, roztrząsając, kto stał, a kto nie i reglamentując sprzedaż. Podczas przedostatniego posiedzenia Sejmu można było kupić co najwyżej pięć pudełek, natomiast 24 bm. rozeszła się w kularach hiobowa wieść: zapalek nie dowieź. Jak mawiają Rosjanie — i śmiešno, i straszno.

Przyjaźń niemiecko-radziecka pośrodku ziem polskich

GRANICA NA OŚMIU RZEKACH

Mieczysław Wieliczko

TAJNY protokół” do układu Ribbentrop — Molotow z 23 sierpnia 1939 r. stanowił w pkt. 2: „W razie terytorialnego i politycznego przekształcenia obszarów należących do państwa polskiego, sfery interesów Niemiec i ZSRR będą rozgranicezone w przybliżeniu linią rzek Narwi, Wisły i Sanu. Kwestia, czy interesy obu stron czynią pożądaną utrzymanie niezależnego państwa polskiego i jakie granice ma mieć to państwo, może być określona definitywnie jedynie w toku dalszego rozwoju sytuacji politycznej. W każdym razie oba rządy rozstrzygną tę kwestię za pośrednictwem przyjaznej ugody”.

Nie bacząc na zawarte porozumienie, Niemcy — począwszy od 9 września, kiedy wieczorem w Sannoku przekroczyli San — rozwinęli działania daleko na wschód od tej rzeki. W ten sposób została przekroczona „linia demarkacyjna”, rozgraniczająca sfery interesów Niemiec i ZSRR. Według ustaleń

Oberkommando des Heeres — 17 września Wehrmacht osiągnął linię: Skole — Stryj — Lwów — wschodni skraj Kamionki Strumiłowej — stąd do biegu Bugu i wschodni skraj Brześcia Litewskiego — Kamieniec Litewski — Hajnówka — wschodni skraj Białegostoku i przeciął idące stąd linie do Grajewa i Łudka.

Zdaje się, że Niemcy rozwijając ofensywę na południowym wschodzie, dążyli do uchwycenia Wschodniego Zagłębia Naftowego (Borysław — Drohobycz — Stryj), co się im w zasadzie udało i usiłowali przez to, tworząc fakty dokonane, wymusić na Stalinie zmianę pierwotnych uzgodnień, wszak Wehrmacht był o dobre 130 km na wschód od Sanu.

W tej sytuacji Hitler, który 18 września zjechał do Gdańska (tu wygłosił przemówienie programowe w związku z wydarzeniami 17 września, czyli wkroczeniem Armii Czerwonej oraz opuszczeniem

terytorium Rzeczypospolitej przez Rząd, Prezydenta i Naczelnego Wodza), w dniu następnym w Sopotie dokonał przeglądu sytuacji i osobiście podjął decyzje, które Oddział Operacyjny OKH rozesłał telegramami 20 września przed południem. Powiadomiano o zmianie „linii demarkacyjnej” nad Sanem poniżej Przemyśla w stronę Chyrowa i przeniesieniu granicy „mołdziej” — z nurtu Sanu od Zastawnicy do źródła rzeki o kilkaset metrów pod Przełęczą Uzocką — oraz wydano polecenie kontynuowania oblężenia Warszawy choć Praga miała być przekazana Armii Czerwonej.

Ta zmiana rozgraniczenia nad Sanem była samowolą Hitlera, być może skorygowaną przez Stalina na słynnej mapie, gdzie wspólnie z Ribbentropem kreślili linię podziału „stref interesów” — niebieskim (Stalin) i czerwonym (Ribbentrop) ołówkiem —
Dokończenie na str. 14

„Stoimy tu wszyscy ramię w ramię, robociarz i kapelusznik...”

LUBELSKA WALENTYNOWICZ

Danuta Winiarska

STRAJK w WSK Swidnik rozpoczął się 8 lipca 1980 roku w hali nr 1. O Antku Grzegorzczuku, który zaczął ten strajk, koledzy mówią, że był wybuchowy, nerwus i jak mu się krzywdza działa, to nie patrzył, tylko wygarniał, co myśli. Tego dnia poszedł kupić kotlet do baru wydzielonego i powiedział mu, że podróżowało z 10,50 na 18 złotych. Na dodatek dostał mały kotlet. Nie dość, że podróżowało, to jeszcze mały. Wziął, poszedł na halę i powiedział: „Zobaczcie, to tyle kosztuje”. Była przerwa śniadaniowa. Rzucił kotlet i mówi: „Chłopaki — nie robimy”. Jeden, drugi, trzeci, znalazło się kilku z gniazda nr 3 na W-320, którzy mówią, że nie robią, bo ten kotlet zdrożał. I dawaj im kierownika. I tak się zaczęło. Za nimi poszedł następny wydział i następny, a o godzinie 10 stała już cała hala.

8 lipca Zofii Bartkiewicz, pracownicy działu dokumentacji w WSK Swidnik, nie było w zakładzie. Wzięła urlop i prala. Po godzinie 15 przyszła do niej Andrzej Perzak i inni, mówiąc: „Wiesz matka ale cię minęło, strajk był w zakładzie”. „Ludzie czy wyście pogłupieli — przerwała im pani Zofia — bez mnie zrobilibście strajk?”.

Bez Zofii Bartkiewicz nie się w Swi-

dniku nie działo, od dziecka była aktywna. We wrześniu 1939 roku rozpoczęła naukę w drugiej klasie szkoły Siostr Niepokalanek w Stonimiu. Ojciec, z zawodu rzemieślnik, miał emeryturę legionową. Matka prowadziła restaurację. Materialnie powodziło im się dobrze. Zaczęła się wojna i ojca złapali Niemcy pod Warszawą, był ułanem w pułku wołyńskim. Rannego wywieźli nad Bug, a potem przekazali Rosjanom. Rosjanie wywieźli go do Kniżpobosk, tam była sprawa i, jak mówił ojciec Zosi, Rosjanie w mordę nie bili. Przeczytali wyrok — 15 lat. Godki nie było i wożili po różnych lagrach aż do Nowej Ziemi. Po wojnie udało się Zosi wraz z matką i bratem uciec do Lublina. Miała 13 lat, gdy napisała do Wierchownowo Sowietu, do Stalina, że słyszała, że jej ojciec jest w lagrze i prosi, aby go puścili.

Ojciec wrócił w 1948 roku, a zaraz w 1949, był cud lubelski — Matka Boska w Katedrze płaкала. Ludzie gromadzili się pod Katedrą, aresztowano wtedy między innymi ojca i matkę Zosi. Matkę po trzech tygodniach puścili, a ojciec miał sprawę. Gdy zobaczono w papierach, że miał w Rosji 15-letni wyrok, to co eskandalo takiemu dodać jeszcze ciężary i pół.

Zosia była wtedy harcerką. Już w 1947 roku, jako piętnastolatka, prowadziła kolonie letniskowe dla dzieci z Bro-

nowie, lubelskiej dzielnicy stamsów. Najpierw dmuzynowa, potem członek Hufca Lublin - Wschód, odpowiedzialna za drużyny młodsze, w 1949 roku namiestnik zuchowy w Chorągwi. Gdy rodziców aresztowano, była z bratem na obozie instruktorskim w Zwierzyniecu Chorągiew wydelegowała ją na Kongres Odbudowy Warszawy. Zaproszona wraz z delegacją do Belwederu, rozmawiała z Bierutem. Po powrocie do Lublina dowiedziała się o aresztowaniu rodziców. Gdy Sąd Najwyższy zatwierdził wyrok, przypomniała sobie, że się z Bierutem znaję. Pojechała do Warszawy i po dwóch tygodniach starań wpuszczono ją na rozmowę. Bierut obiecał, że zrobi, co będzie mógł. Wyrok zmniejszono do dwóch i pół roku, które ojciec odsiedział w Rawiczu.

Matka zachorowała, brata wyrzucili ze szkoły. Zosia pojechała do Wrocławia do szkoły dla aktywu młodzieżowego, skąd dostała nakaz pracy do budującego się właśnie Swidnika. Miała 21 lat. Wstąpiła do partii, została opiekunem społecznym przy Przejściu, przewodniczącą w Komitecie blokowym. „Te skwerki, co widać z okna — mówi p. Zofia — to organizowałam ich robotę”. Przychodzili przeważnie ludzie proci. Zosia szła do Komitetu i mówiła, że w jej obwodzie mieszka dygnitarz taki to a taki i tylko zaa-

nek patrzy, jak naród społecznie pracuje, trzeba, żeby go Komitet pogonił.

W 1955 zaczęły się różne wątpliwości i oddała legitymację partyjną. Do partii ponownie wstąpiła po sześciu latach, funkcja żadnej nie miała, ale proszono ją na wszystkie zebra- nia: a to jako radną, którą w tzw. międzyczasie została, a to jako opiekun- na społecznego. Na zebraniach zawsze zabierała głos. Mówiła o wszystkim: o drożyznie, o emerytach. Jeszcze przed grudniem wystąpiła w sprawie prominentów i ich willi, że jest tak i tak i dokąd to jeszcze będzie. Były obawy, że to się źle skończy, ale do władzy doszedł Gierek. Dalej upomnia- nała się o ludzi i o miasto. Wiele za- łatwić nie mogła, tylko jej szuflada wypełniła się medalami: Za Zasługi dla Lubelszczyzny, Zasłużony dla Miasta Swidnika, Zasłużony Pracownik WSK, Złoty Krzyż Ligi Kobiet, Medal Trzydziestolecia, Złoty Krzyż Zasługi.

9 lipca Zofia Bartkiewicz przerywa pranie i idzie do zakładu. Od rana nikt nie pracuje. Centrala telefoniczna zablokowana, nie ma łączności. Admi- nistracja, aktyw partyjny i związo- wy starają się zmusić ludzi do pracy. Na halach grobowa cisza. Dyrektor Zjednoczenia, Kuczyński (który przy- jechał z Warszawy) idzie z dyrekto- rem naczelnym WSK, inż. Janem Czo- gą, na kuznię. Kuczyński próbuje u- ruchomić młot, żeby był balas w za- kładzie. Ktoś podłożył słowo na ko- wadło i jak zaczęli stukać, tował przy- szał, brudząc Kuczyńskiego. Dyrektor Zjednoczenia próbuje jeszcze uruchomić sarnicę na jedyne, ale nie potrafi. Cały zakład czeka na godzinę dzie- wiatą. Zgodnie z wczorajszymi ustale- niami — o dziewiętej wiecz przed in- rowcem.

Powoli na placu zbierają się ludzie. Do niewielkiej grupy podbiega Ku- czyński, krzyżąc do Leska Swiders-kiego: „W tej chwili proszę wracać do pracy bo jeśli nie, to wasze miejsce będzie tam” — i pokazuje bramę. „A pan kim jest?” — pyta Leszek, a tłum wokół nich groźnie gęstnieje. Coraz więcej ludzi. Wyszedli pracownicy bu- dynku technicznego, ludzi z hal wciąż

AD uznaje Marię Sienko winną dokonania zarcuwanego jej czynu i na zasadzie artykułu 148 § 2 kodeksu karnego skazuje ją na dwa lata pozbawienia wolności oraz na zasadzie art. 73 i 74 § 1 k.k. wykonanie kary warunkowo za- wieszca na okres 5 lat”.

Łzy napłynęły jej do oczu. A więc pozostanie na wolności. Sąd wysłuchał jej prośby o łagodny wymiar kary, aby nadal mogła wychowywać swo- je dzieci. Nie słuchała już słów podających zsa sędziowskiego stołu. Wiedziała tylko jedno, że od lat po raz pierwszy ktoś zechciał jej wysłuchać, ktoś się ulitował nad nią i jej marnym losem. Ktoś zrozumiał...

— Malo! — oburzają się jedni. — Co to za wy- rok?! Wydanie takiego wyroku ubliża samemu są- dowi.

— Sprawiedliwie — twierdzą inni. — Trzeba było wziąć pod uwagę nie tylko sam czyn, ale i okoliczności, które do niego doprowadziły.

Jak zawsze w takich sprawach, opinia wiejska jest podzielona. W tym przypadku granica pół- działa uzależniona jest od tego, czy rozmawiam z kobietami, czy z mężczyznami. Mężczyźni — w większości — są przeciwko Marii. Powtarzają za- cłyszane historie o jej złym prowadzeniu się, przedmałżeńskiej ciąży, picciu alkoholu. Kobiety starają się ją tłumaczyć. Złego słowa o niej nie mówią. Tyle tylko, że ręka z siekierą zawieszona nad mężowską głową nie powinna była opaść. Bo przeszedł przykazanie mówić: „Nie zabijaj”...

Zazdrościła innym dzieciom. One przynajmniej, miały domy z prawdziwego zdarzenia. A u nich kurna chata o jednej izbie wystarczyć musiała za kuchnię, jadalnię i sypialnię dla pięcioro dzieci i rodziców. Na szczęście z błogim lat starsza ro- dzicielstwo zakładano własne rodziny i odchodziło. Więcej miejsca robiło się na łóżkach i przy stole. Kiedy Wielek poszedł do wojska, w domu zostali już tylko z najmłodszą siostrą.

Ta kurna chata stała wysoko na porośniętym krzewami i drzewami pagórku tak, że nawet dro- gi wiejskiej z okna widać nie było. Do centrum gminy było ze dwa kilometry, więc podróżujące paniny tyle światła zobaczyć mogły, co w drodze do szkoły i z powrotem.

Zjawili się niespodziewanie. Stanał w drzwicach razem z Wiekim. „Kolega z wojska” — przed- stawił brat. Matka do stołu nakrywać zaczęła. Maria zerkała ukradkiem na przybysza i on bez- czelnie gapił się na ładną dziewczynę, której czar- nał oczy nagłe pojaśniały.

— On lubił dziewczyny — mówi mi teraz Wi- cek. — Na przepustce to się za każdą oglądał. Ale... Który z nas wtedy dziewczyn nie lubił — kończy sentencjonalnie.

— Nie ma pan wyrzutów sumienia, że siostrze na głowę nieszczęście sprowadził? — pytam.

— Hm! Wódkę też lubił pić. A jak wypał, to rozrabiał. Za wódkę przemieśli go karnie do na- szej jednostki. Bo najpierw służył gdzieś w kra- kowiekim. Ale chłop omni się w kawalerce wy- szumieć. Jak się ożeni, to stateczności nabiera.

„Wyrwę cię, Mario, z tej wsi — czarował Śla- wek podczas kolejnej wizyty. — Mam kawalerkę w Krakowie. Życie nasze będzie piękne”.

Pierwsza o ciąży dowiedziała się matka. „Wesele trzeba gotować” — zawyrokowała. Ślub odbył się w lutym 1984 roku. Właśnie Maria skończyła 18 lat. Pan młody miał 22 lata. W kwietniu urodził się Michał. Po ślubie młoda para zamieszkała nie w krakowskiej kawalerce, bo okazało się, że jej nigdy nie było, ale u matki Ślawka we wsi pod Hochtnią. Po kilku tygodniach Maria uciekła od teściowej.

— Zazwyczaj mi, że byłam biedna, że nawet płaszcza nie miałam i ona musiała kupić mi okry- cie — mówi Maria cichym głosem. — Podejrzę- wała mnie też o to, że Michał nie jest dzieckiem Ślawka. Ze jej syna złapałam na ciążę.

Niedługo potem Ślawek przyjechał za żoną. Przeprosił ją. Przysiękał, że będzie dla niej dobry. Młodzi pogodzili się tym bardziej, że Maria pono- wnie była w ciąży. Postanowili zamieszkać na stacji. Ślawek był elektirykiem, więc szybko zna- lazł dobrą płatną pracę w Krańniku, dokąd co- dziennie dojeżdżał. Wspólne życie znowu miało stać się piękne.

W sądzie matka Marii powiedziała:

— Od tej pory, gdy Ślawek zaczął pracować w Krańniku, sytuacja rodzinna córki zaczęła się pogarszać. Zięć zaczął przychodzić po pracy pija- ny. Wywotywał awantury, blił ją. Nawet na nas zaczął podnosić rękę. To było w maju 1985 roku. Wszystkie pojechałamy na przyjęcie do starszego syna, którego dziecko przystępowało do komunii. Zięć sam nalewał sobie wódkę. Popił i zaczął się

zawanturować. Pobił Marię, która była w mocno zaawansowanej ciąży. A kiedy razem z mężem stanęliśmy w jej obronie, pobił męża, a onnie z taką siłą odepchnął, że upadłam.

Właścicielka wymówiła im stację. Dostyć miała awantur i krzyków kłócącego się ze sobą młodego małżeństwa oraz nieregularnie płaconych przez nich czynszów.

Wynajęli kolejną stację.

— Mieszkał tutaj dwa lata — siedzę w kuch- ni właścicielki kilkunastolatki i słucham opowieści o gehennie Marii. Są też sąsiedzi, któ- rzy to co się tu działo, widzieli na własne oczy.

— Będę bezstronny — mężczyzna jako jeden z melicznych, z którymi rozmawiałam, stara się zrozumieć sytuację Marii. — Wiele razy mówiłem do

MAMO,

Izabella Wlazłowska

Ślawka: „Wypiles to polóż się opać. Czego czepiasz się kobiety. Pierze ci, gotuje, czytał chodzisz u- brany, a i o dzieci też dba, więc przestań na nią rękę podnosić”. Wie pani, ona to drobna, szczupła- tka kobieta. I ładna, prawda? Wzrowała przy dzieciach, ani oczu na innego chłopca nie podniosła. Więc czego ją od kurew wyzywał? Ale i on niezo- go tobie chłop. Jak trzeba, to dobry był. Poma- gał jej, z dziećmi wychodził. Zapracować też po- trafił. No, ale jak wypił...

Kolegów do domu sprowadzał, a ją za służącą miał. Kiedyś poszłam do niej coś potyczki. On pił z dwoma kolegami w pokoju, a ona z dziećmi sie- dzieła w kuchni. Gdyby wódkę lubiła, to też z nimi by piła, prawda? Ale ją na sam widok alkoholu już trzęsło. Patrzeć na jego picie nie mogła, bo wie- działa, co potem będzie. Zabierała dzieci i uciekała przed nim. A kiedyś wyskoczyła z pierwszego pię- tra. O, z tamtego dnia — pokazuje mi właścicielka.

W sądzie Maria powiedziała:

— Mąż był pod względem potrzeb seksualnych aż do przesady potrzebujący. Nie awantał nawet na okres miesięcznego. Zamuszana byłam biciami do zdejmowania podpaski i oddawania się. Kiedyś sta- nowczo odmówiłam. Mąż był pijany. Zerwał się z łóżka, złapał kuchenny nóż i krzywił, że mnie za-

przybywa. O godzinie 10 przed biurów-
cem jest już cztery tysiące osób. Sto-
jąca bliżej schodów prowadzących do
budynku grupa młodych pracowników z
W-330 rozpoczyna przysięgi:

Ministerku, nie bądź taki,
wyjdź przed ludzi, nie rób drażli.
Jak się ludzie zdenerwują,
to ci skórę wygarbują,

oraz „Stary Mazur mocno śpi” (Zdzi-
sław Mazur był przewodniczącym
Związku Zawodowego Metalowców w
WSK). Teren przed biurowcem wypeł-
niony po bragi. Nagle wybucha pieśń
„Wykłęty powstał ludu ziemi,
powstańcie, których dręczy głód”, a zaraz
potem „Boże, coś Polskę”.

Na schody przed biurowiec wchodzą:
dyrektor naczelny WSK Jan Czogała,
dyrektor Zjednoczenia Kuczyński, mi-
nister przemysłu maszynowego Kopeć,
wojewoda lubelski Stępień, sekretarz
PZZP w WSK Wąsowicz. Pierwsze
próby rozmów bez nagłośnienia nie
dają rezultatów. Słabo słychać. Insta-
lują mikrofony.

Rozpoczyna minister: „Bardzo się cie-
szę, że mogę się ze wszystkimi spot-
kać”. Odpowiada mu gromki śmiech.
Minister obiecuje, że wszystko zostanie
rozpatrzone, bolączki usunięte. Rząd
rozpatrzy sprawę podwyżek płac, ale
tego się nie da od, tak, załatwić, więc
on, minister, niczego nie może zagwa-
rantować. Z placu rozlegają się, naj-
pierw pojedynczo, a wkrótce chóralnie
okrzyki: „Chcemy jeść”, „Chcemy pra-
cy i godziwego zarobku”. Wojewoda
Stępień obiecuje wyeliminować braki
w zaopatrzeniu załogi w środki higieny
osobistej, i żądanie co do ceny kot-
letów uwzględnić, winę za podwyżkę
ponosi ponóć prezes miejscowej GS.
Żaloga nieprzekonana stoi twardo i
nie zamierza wracać do pracy.

Zofia Bartkiewicz pamięta, jak sta-
ła w orfalionie, bo było chłodno, a jej
mąż koło niej i córki też. Czuła, że
zaczyna się dzień niedobry. Nie my-
ślała o żadnej rewolucji, chodziło jej
o to, żeby ludzi nie narazić, bo orien-
towała się, co z tego może wynikać.
Myślała: „Ludzie wybrali mnie radną,

więc ja jakiś obowiązek mam, żeby
zając stanowisko, żeby naród nie my-
ślał, że dyrekcja mnie popiera, związek
zawodowy nie popiera; więc ja jako
przedstawiciel, ja was popieram”. I
weszła samotnie na te schody przed
załogę.

„Słuchajcie mnie uważnie — zaczęła
swe wystąpienie Zofia Bartkiewicz —
mówię do was jako członek partii i
jako radna. Ja o tych sprawach mówi-
łam przez dwadzieścia parę lat, ale bez
skutku. My tego się inaczej nie dobi-
jemy, tylko wspólnie, razem. Popatrz-
my na siebie. Stoimy tu wszyscy ramię
w ramię, robociarz i kapelusznik,
jak powiedziano, darmożjad. I pamię-
tajcie, nie dajmy się sklócić. Jesteśmy
wszyscy pracownikami WSK. Wasze
żony i matki, które tu stoją, są pra-
cownicami biurowca, a wy, nasi, syno-
wie, mężowie i ojcowie, stoicie przy
maszynach. Razem tworzymy rodzinę.
Pamiętajcie, że zakład jest nasz. To
(wyciągnęła rękę w stronę hal) to nie
jest naczyje, nie jest państwowe, nie
jest socjalistyczne, to jest wypracowa-
ne naszymi rękoma i musimy tego
bronąć. Nic nie może zginać ani być
zdeławiane”.

I musiała coś powiedzieć o trawni-
kach, bo nagle wszyscy zeszli z tra-
wy.

(To ostatnio mocno się wbiło w pa-
mięć załogi. Na archiwalnych zdjeci-
ach z wiecu strajkowego z 14 grud-
nia 1981 roku widać wielotysięczny
tłum przed biurowcem, a w środku
dwa puste, zaśmiecone kwadraty. Pra-
cownicy WSK jeszcze pamiętali, że nie
możno wejść na klomb).

Po tym wystąpieniu padła propozy-
cja, żeby załoga wróciła na wydziały
i każdy spisał swoje żądanie. Zofia,
która korespondowała ze Stalinem,
rozmawiała z Bierutem, dyskutowała na
partyjnych zebraniach, obiecała, że za-
dzwoni do KC, bo w Komitecie mu-
szą o tym wiedzieć.

10 lipca zebrane z wydziałów 568
żądań uporządkowała specjalnie do te-
go celu powołana komisja. Dalo to w

efekcie 110 punktów skierowanych do
administracji przedsiębiorstwa, naczel-
nika miasta, władz wojewódzkich i
centralnych. Oto niektóre z nich:

- zrekompensować podwyżki cen;
- utrzymać łalony na cukier, wpro-
wadzić na artykuły przemysłowe,
których brak we wszystkich skle-
pach;
- poprawić zaopatrzenie w artykuły
żywnościowe, zwłaszcza mięso;
- zlikwidować sprzedaż towarów pro-
dukcji krajowej w Pewexie;
- zaniechać ukrytych podwyżek cen;
- prowadzić konsultacje z klasą ro-
botniczą w sprawach decydujących
o stopie życiowej;
- wyjaśnić, czemu zarządzenia KC
i władz centralnych, podane przez
środki masowego przekazu, dociera-
ją do nas w zmienionej formie, wo-
bec winnych wyciągnąć wnioski;
- zmniejszyć różnice placowe;
- ustalić jasne kryteria zaszerzowań;
- płacić za pracę, nie za dyplom i
uczelnie;
- podnieść płace najniższe;
- ujednoczyć system emerytalny;
- podnieść dodatki rodzinne;
- skrócić do 6 godzin czas pracy
matkom wychowującym dzieci do
lat 8;
- przedłużyć płatne urlopy macierzyń-
skie;
- wykwaterować rodziny, które mają
domki rodzinne, z mieszkań spół-
dzielczych i kwaterunkowych;
- podjąć decyzje w sprawie wzno-
wienia corocznego przyjmowania
kandydatów w poczet członków
Spółdzielni Mieszkaniowej;
- stosować jawność kryteriów podzia-
łu dóbr materialnych i atrakcyj-
nych świadczeń socjalnych;
- ograniczyć służbowe wyjazdy zagra-
niczne;

- ograniczyć wydatki na propagandę
wizualną, cele reprezentacyjne, przy-
jęcia dostojników w zakładach i re-
gionach;
- zlikwidować korupcję w lecznic-
twie;
- nie lekceważyć pracowników w za-
kładzie i za powiedzenia prawdy nie
karać i nie zwalniać;
- poprawić funkcjonowanie przedsię-
biorstwa, zmniejszyć biurokrację;
- zapewnić pełne wyposażenie w ma-
szyny i materiały;
- uregulować prace inwestycyjne;
- zaniechać administracyjnego nacis-
ku na poskytywanie członków
wspierających Klub Sportowy „A-
via”;
- wprowadzić zasadę rotacji kadr na
stanowiskach państwowych, jedna-
kowo wyciągać odpowiedzialność na
wszystkich szczeblach;
- poprawić kierownictwo centralne w
zarządzaniu gospodarką narodową;
- rzetelnie informować o sytuacji w
przedsiębiorstwach;
- zagwarantować obronę interesów za-
łogi w organizacjach związkowych.

Tymczasem w zakładzie już przed
godziną ósmą zablokował łączność tele-
foniczną. Rozstawioną czujki partyj-
ne, blokujące wyjścia z hal i biurow-
ców. Mimo wszystko wied rozpoczęł
się o dziewiątej. Razem z dyrektorem
Czogałą, na schody biurowca wchodzi
Zofia Bartkiewicz. Referuje rozmowę
z dyrektorem. Po wizycie ministra jest
możliwość uregulowania plac, a 50
procent pracowników fizycznych ma
być przeszerzowanych o grupę wyżej
Przeszerzowane będą robili kolek-
tywne wydziały. To wszystko, co ni-
zna uzyskać. Zebrani wybierają ją
oraz Zbigniewa Pucaka, aktywnego
przed biurowcem, do dalszych rozmów
z dyrekcją. Wied rozmodzi się, ale
pracy nikt nie podejmuje. Druga zmia-
na również stol...

Dokończenie nastąpi

bije, gdy mu się nie oddam. Zaczęłam przed nim
uciekać. Gonil mnie z nożem. Wyskoczyłam przez
okno z pierwszego piętra. Złapał mnie ból w okoli-
cach krzyża. Poszłam rozstrząsana do sąsiadki. Kie-
dy wróciłam do mieszkania, mąż już mnie nie był,
ale stosunek ze mną odbył. Rozmawiałam z nim o
rozwodzie. Słysząc nawet o tym nie chciał. Chyba
odpowiadał mi takie życie ze mną.

Matka Marii powiedziała w sądzie:
— Córka skaryła się do mnie, że mąż po pijane-
mu odbywał z nią codziennie stosunki seksualne.
Mówiła, że cały brzuch ją boli i dłużej już tego nie
wytrzyma. Zaszła w ciążę z trzecim dzieckiem, ale
ciążę usunęła. Leżała też przez 10 dni w szpitalu,
bo miała robioną przepalankę.

— Bil ją — słyszę teraz — Wiele razy widzia-
łam ją pobitą. Kiedy Sławek wracał do domu pi-
jany, to ona zabierała maleńkie dzieci i uciekała z

Od tam młodzi sprowadzili się do rodziców, są-
siedzi przestali mieć spokojne życie.

— Ciągłe od strony ich posesji dobiegaly krzy-
ki i wrzaski — powiedziała w sądzie sąsiadka. —
Sierko pracował, a Maria zajmowała się domem.
Nie widziałam, ani o tym nie słyszałam, aby utrzy-
mywała kontakty z innymi mężczyznami. Dzieci rho-
dziły cyrsto ubrane, ona sama także ubierała się
schudnie. Widziałam, że kiedyś chodziła z podbitym
okiem. Raz byłam świadkiem jak w trakcie awan-
tury Sławek kopnął ją w pośladki. Niejednokrotnie
ganiał się po polach i ogrodzie. Było to tak czę-
sto, że nie zwracaliśmy już na to uwagi.

— Gdyby mi tamtego dnia powiedziano, że Ma-
ria została zamordowana — słyszę teraz — to chy-
ba bym się nawet rde zziwiła. Ale że akurat stało
się inaczej... Nagi się tylko pode maną ugięły. Boże,
ropiłaś, jaka tragedia.

— Koło 14 jadłem obiad, kiedy usłyszałem do-
biegający z zewnątrz płsk. Wyszedłem przed mie-
skanie. Przed drzwiami stała Maria, a jej mąż ok-
ladał ją pięściami. Schwyciłem go za rękę, a ona
w tym czasie wbiegła do mojego mieszkania. Sła-
wek wrócił do domu.

Mówi sąsiadka:
— Od strony ich posesji dobiegaly krzyki, wrza-
ski i płacz dzieci. Ojciec Marii krzyczał, aby Sławek
nie bil córki. Sławek biegł za Marią i krzyczał, że
ją zabije. Widziałam, jak Maria uciekła do mieszk-
tania sąsiada. Widziałam też, jak Sławek uderzył
teścia, a ten przewrócił się na ziemię. Kiedy Ma-
ria wyszła z domu sąsiada, mąż doskoczył do niej
i kilkakrotnie ją uderzył. Wykwal też wulgarnymi
słowami. Maria uciekła w krzaki koło naszego plotu.
Sławek pobiegł za nią. Był pijany. Krzyczał, że
ją zabije. Marią stała w krzakach i cała się trzę-
sła.

Mówi Maria:
— Wszedłam do domu. Leżała na łóżku. Słyszac, że
wchodzi, powiedział: „Po coś kurwo przysła”. W
sieni zobaczyłam opartą o ścianę sikiere do raba-
nia drewna. Wtedy właśnie przysłała mi do głowy
tę myśl: „Mech się raz skończy nasza mordoga.
Uderzy mnie”. Nie zastanawiając się, chwyciłam
sikiere, podszłam do niego i od razu jego głowę
i z całej mocy, z zamachu uderzyłam się obuchem
sikiery w głowę męża. Uderzając zamru-
zyłam oczy. Zamachnęłam się drugi raz też, zła
siebie, uderzyłam obuchem w jego głowę. Wybie-
głam na podwórce. Rzuciłam sikiere. Zaczęłam
krzycać. Nie pamiętam, co krzyczałam. Nie wie-
działam, co mam ze sobą zrobić. Dzieci chodziły
za mną płacząc...

Stara kobieta siedzi przy stole wsparta na dłoni.
Ona ma życie. Sama niejedno przesła. A to już
rok minął od tamtej tragedii. Maria mieszka z
dziećmi u rodziców. Odręła. Na ulicę wychodzi
umalowana, uczasana. I z podniesioną głową — do-
daje kobieta, jakby trochę odalwiona. A wyrok są-
du czy sprawiedliwy? — długo się zastanawia. A
potem już milczy.

Bo kto wie, w którym miejscu kończy się gra-
nica ludzkiej wytrzymałości na anłowagi, ponębenie,
upodlenia i ból. Gdzie znajduje się punkt, którego
przekroczyć nie można, bo za nim jest już tylko
ludzka kara i boskie potępienie. Piętno, które na-
zoczyło Marię, przesłaładwa ją będzie do końca
życia. Kiedyś będzie musiała odpowiadać na py-
tanie zadane przez podrastające dzieci: „Mamo, dla-
czego zabiłaś naszego ojca?”
(Imiona i nazwiska zostały zmieniane).

DLACZEGO ZABIŁAŚ?

mieszkania. Wracała, kiedy już zasnął. Przez okres
czterech lat małżeństwa dwa lata mieszkali tutaj.
Nie stwierdziłam aby Maria dawła mężowi powo-
dy do zazdrości. Teraz o niej plotkują, że miała
kochanków i dlatego on tak się awanturował. To
nieprawda. Przez te dwa lata nie widziałam też, aby
była pijana. A przecież mogła zacząć pić razem z
nim. Niestety, wymówiłam im stancję, bo miałam
już tego wszystkiego powyżej uszu. Zalegał też z
czynszem.

Był październik 1987 roku. Rodzice Marii postano-
wili, że córka z dziećmi zamieszkają razem z nimi.
Tym bardziej, że skończono budowę nowego domu.
Kurwa chata po prostu rozleciała się. W jednym
pokoju zamieszkał rodzice, w drugim młodzi.

— Myślałam, że ze względu na nas zięć się po-
prawi no a ja pomogę trochę córce w wychowywa-
niu dzieci — mówi matka Marii. — Jednak zięć
codziennie go pracy wracał pijany. Pieniądże z wy-
płaty trzymał w domu, ale Maria mogła z nich
skorzystać jedynie na zakup chleba. Widziałam biedę
córki, więc pomagałam jej kupując dzieciom
odzież, wyżywienie. Córka była do tego stopnia wy-
czerpana psychicznie, że na widok pijanego męża
cała się trzęsła.

Tragedia rozegrała się 5 lipca 1988 roku.

Mówi ojciec Marii:

— Zięć wstał koło 6 rano i poszedł kopać ziem-
niaki. Wrócił z pola koło 10. Akurat przyjechał
mój starszy syn i poprosił Sławka, aby podskoczył
rowerem do sklepu i przywiózł piwa. Zięć przy-
wiózł piwo w 3-litrowym słoiku. Wypiliśmy piwo
i jeszcze pół litra wódki. Załadowaliśmy ziemniaki
na wóz i pojedliśmy się sprząść do Domu
Starców. Podczas jazdy okazało się, że zięć ma
jeszcze wódkę, którą wypiliśmy. A potem zięć kupił
jeszcze w sklepie 3 wina. Kiedy wróciliśmy do do-
mu, połodyłem się w swoim pokoju. Niedługo po-
tem usłyszałem głos córki wołający „ratunku”.

Mówi Maria:

— Mąż wszedł do pokoju i chwycił mnie ręką-
mi w pól. Nie zrobił tego ze złości, lecz poczułam
ból brzucha, ponieważ akurat wróciłam ze szpitala,
gdzie miałam robiony zabieg ginekologiczny. Powie-
działam, żeby mnie zostawił. Wtedy ze złością zaczął
na mnie krzycać. Wyszedł przed dom. Krzyczał
do dzieci: „Gdzie ta kurwa jest”. Wybiegł za mną,
popchnął mnie, aż się przewróciłam. Z domu wy-
szła matka, ale też ją popchnął. Uciekłam do sąsia-
da. Mówi sąsiad:

Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik

KLUCZYMY, szukając drogi w kierunku Hajnówki. Napotkany chłop długo nie może uwierzyć, że wolimy jechać rowerami niż koleją. W Milejczytach, należących niegdyś do „dóbr stołu królewskiego ekonomii brzeskiej”, udaje się nam kupić kielbasę bezkratkową, tzn. z dodatkami baraniny. Wygląda nieapetycznie, ale ryzykujemy kilogram. Po drodze do Kleszczeli dajemy nura w niski, sosnowy las i, rozglądając się, czy zza krzaków nie wyłazi gajowy z mandatem, rozpalamy małe ogniki na skrzyżowaniu piaszczystych dróg. Kielbasa przemienia się w skwierczący, pachnący szaszлык — podpieczona baranina przechodzi bez mruknięcia okiem.

W Kleszczelach oglądamy pięciokopułową cerkiew; coraz ich więcej, coraz mniej kościołów. Zmienia się również topografia, krajobraz jest bardziej rozciągnięty, płaski. Jego charakterystyczną cechą zdaje się być cienkość — nie umiemy znaleźć bliższego określenia. Ta płaskość jest zupełnie inna niż np. na Mazowszu. Nie bardzo wiem, na czym polega różnica, ale czuję ją wyraźnie.

Na mapie przy Dubiczach Cerkiewnych nie stoi żaden znak, niczego nie możemy doszukać się i w przewodnikach. Myśląc o noclegu w Hajnówce, podkręcamy tempo, ale zmierzach jest szybszy, tradycyjnie odpuszczamy ostatecznie kilometr i pytamy o siano.

— Tam mieszkają dobrzy ludzie — powiada napotkany chłop.

Zajedźmy na farmę. Szybkie pytania, przebieg rozmowy. Jesteśmy pod ciśnieniem aury, jaką promieniują te ziemie — pierwszy nie wytrzymuje Marek:

— Jesteście prawosławni?

Syn gospodarza odpowiada powoli, z namysłem:

— Nie. Ale wierzymy w Chrystusa, w jego naukę — tak jak mówił, nie jak chce Kościół. Chrzczymy się według słów Biblii, w rzecze.

Świadkowie Jehowy — myślę odruchowo Ustalamy, że śpimy na ścianie, w siodole bez ścian. Niestraszne nam komary z pobliskiego stawku. Podwórza planują dwa rosłe psiska, jest bezpiecznie. Prosimy o wrzątek, na co staruszek zaprasza do izby, tłumacząc się, że jak to na wsi, nie jest ani elegancko, ani za czysto.

Kroimy chleb, parzymy herbatę. Ludzie łagodni, dobrzy, rozmowa nabiera ciepła, serdeczności. Chłop, rdzenny Białorusin, mówi łamaną polszczyzną, długo szukając słów na oddanie pojęć abstrakcyjnych. Niepostrzeżenie przechodzi z polskiego na białoruski; kiedy to sobie uświadamia, wraca do polskiego, raz, drugi. Rozumiemy się doskonale; on, jakby skrepowany używaniem „chachlackiego” porównuje tłumaczy się. Uspokajam go:

— To pana ojczysty język, który powinno się szanować bez względu na to, gdzie się żyje. Białorusinów jest piętnaście milionów, mają prawo do swojego języka, literatury, swoich szkół. Tylko podłość lub zaślepienie może to kwestionować.

Niespodziewanie zaczyna opowiadać o zbiorach protestanckich, o tym, jak głosił słowo Boże, mimo iż ma tylko cztery klasy powszechnej. Opowieść przechodzi w spowiedź z całego życia. Żona, która wcześniej poszła była spać do alkowy, wraca teraz i siada na ławie pod piecem, szepcząc pacierze.

— Teraz mówisz, aleś zapomniał, jak młody był, co robił — jazgotcie głośnym, sepleniącym szepciem.

Porywa się od stołu i gniewnie macha ręką:

— Alem przejrzał i nawrócił się! A ty nie mieszasz.

Opowiada o synu, którego opatrność ocalała z wypadku.

— Ja jemu mówiłem przed rozprawą: jest Bóg i On ci pomoże, tylko przyjdź do Niego. I wyszedł cało, zrozumiał i nawrócił się.

— Też jest protestantem?

— Też.

— A pani?
— Ja prawosławna.
— Chodzi pani do cerkwi?

— Oj panie, ja to taka jeźdem, że i tu się pomodlę, i tu się pomodlę. Trzeba być dobrym. Chodzę. Modlę się, śpiewam.

— Może nam pani zaśpiewa?
Zażenowana, jak dziewczynka, odmawia. Rozmowa coraz bardziej gorąca, zahacza o obrzęd, jego znaczenie w Kościele rzymskokatolickim, o dzieci, które jeszcze nie wiedzą o możliwości wyboru, a już są zagarniane, podporządkowywane lub przynajmniej dominowane.

— Później rzadko kto ma odwagę i wolę zmieniać zastygłe kanony — włączam się do rozmowy.

— Z tego powodu nie ochrzciłem swoich dzieci — mówi Marek. — Kiedy dorosną, zdecydują same.

Jestem zaskoczony. Znamy się kilkanaście lat, ale nigdy tak nie rozmawialiśmy. Życie tutaj samo się płacze: nie chcąc podejmować za własne dzieci zbyt drastycznych decyzji, właśnie zaprowadziłem je do kościoła. Kiedy dorosną, mogą tę decyzję przekreślić, albo ją pielęgnować, ja także nie chcę być władcą ich sumień.

W rdzennie katolickim kraju, zdominowanym przez mocarstwo zwalczające ten katolicyzm, sprawy wiary przedziwnie zachodzą na poczucie narodowości Polaków. Nie da się ich sprowadzić do czystego ekstraktu przekonań religijnych. Odsuwając je od dzieci, jest się niebezpiecznie blisko roboty drwała podcinającego korzenie kulturowe, narodowościowe. Jest się zbyt blisko, by ryzykować — prawda bywa nieelegancka.

Metafizyka wieczoru. Dziernego żółtym światłem zarówki, tężeje:

— Ja chciałby z wami pomodlić się — mówi staruszek.

— Nie będziemy umieli...
— Tego się nie trzeba uczyć — odpowiada i klęka, opierając się ręką o stół. Klękamy i my, i jego żona.

— Boże mój...
Następuje szybki potok białoruszczyzny, z której rozumiem co dziesiąte słowo. Niespodziewanie przechodzi na niemiecki, potem znowu na białoruski.
— ...i daj, aby moi młodzi przyjaciele osiągnęli cel swojej puti — kończy nasz gospodarz.

Jestem bardziej rozedrgany w sobie niż oczyszczony, ale — czuję — spełniło się. Niesieci rozmowy zegnają się, z trudem obiecując sobie dokonać z siebie następного dnia. Pora na spoczynek.

DZIEŃ X

Otulen i szczelnie spiworami słyszymy nieustający jęk, nie wiem którego, ale komary przedostają się do środka, walimy się po polickich w półnie. O trzeciej rano boćiany robią hałas na dachu, leżymy jeszcze pół godzinę i wstajemy, nie ma mowy o spaniu.

Pajdy krojone naokoło bochenka, smarowane serkiem łopionym i dżemem na wierzchu, są zbyt wytrawnym jedzeniem dla mojego — dzielnego skądinąd — towarzysza. Ja, niegodny chrześcijanin, zjadam je, bo muszę (nie ma nic innego do jedzenia), on, jak się rzekło, bardziej wytrawny, rezygnuje na korzyść dwóch wygodniejszych brysiów. Przed szóstą siadamy na rowery, nasi staruszkowie wstają dopiero za godzinę. Z żalem i wyrzutami sumienia odjeżdżam, należało przynajmniej pożegnać się.

Przed siódmą, przy kiosku ruchu w Hajnówce, starszy, schludnie ubrany pan dzieli się głośnymi uwagami nt. „komuny”. Zarzuty są rzeczowe, konkretne, złości w nich tyle, ile może

wywołać bezkarna głupota. Czuję się zbudowany: dokładnie to samo ludzie mówią w Janowie Podlaskim, Lublinie i w Zamocciu. Przychodzi elokwentna twarz „Bolegi ministra” który w telewizorze na słowa dziennikarza, że „społeczeństwo tak sądzi” zapytał — na czyich badaniach opinii publicznej opiera swój sąd. Zamknął badani proponując wybrać się w Polskę rowerem, te o wiele mniej kompromitujące niż elokwencja nieprzemysłanych pytań.

Hajnówka, którą tak pieściłem w myślach, zawodzi: jeszcze jedno współczesne miasteczko — w miarę brudne, rozkopane, z brzydkimi pudłami bloków. Świeżo postawiona bryła dworca kolejowego szpanuje na wielkomiastość. Raczmy się w dworcowym bufecie galareta, wysyłamy kartki do dzieci i w puszcze! (Wygodna, asfaltowa jezdnia).

Po drodze żubry i tarpany w pokazowych rezerwach. Żubrów mało, raptem pięć. Pstrykamy zdjęcia bez zachwysu; jeżeli ktoś zapytałby mnie o najmocniejsze odczucie w tej chwili, powiedziałbym jedno słowo: tandeta. Już wole oglądać wybiegi w ogrodach zoologicznych Wrocławia, Oliwy czy Płocka. Zabieram z drogi półksiężyc krzemienia na pamiątkę.

Białowieża słoneczna, pachnąca od czystości. Nie czuje się jej położenia na obszernej polanie wśród boru, którą stanowi kwadrat o boku mniej więcej 4 km. Odnosi się wrażenie, jakby leżała na otwartej przestrzeni. Kręcimy się po parku pałacowym, oglądamy całkiem współczesny hotel „Iwa”, obok którego grupa dębów szypulkowych określa miejsce spalonego w roku 1812 myśliwskiego zamku. Po carskim pałacu, wybudowanym pod koniec XIX wieku, pozostała jedynie brama.

Siadamy nad stawem, Marek zapada momentalnie w drzemkę, a ja usiłuję odtworzyć cokolwiek z dawnego klimatu śródpuszczańskiej osady, kiedy stał „Dwór Białowiecki Jego Królewskiej Mości dla przejazdu i łowów”; wiem, że polowali tu królowie, poczynając od Jagielly, a kończąc na Sasach i Stanisławie Augustu Poniatowskim. Po rozbiorach przyszła kolej na carów, w dwudziestolecie międzywojennym było to miejsce reprezentacyjnych polowań, w czasie ostatniej wojny lupili puszcę, jak mogli — Niemcy. Cywilizacja zagarnęła i to miejsce, za „ładnie” tu, za gładko, nastrój bardziej sanatoryjny i reprezentacyjny niż śródpuszczański — rozglądamy się za drogą w kierunku Narewki i dalej — Kruszynian. Dopiero przy wyjeździe na północ widać panujący niedzielnia „krokci” i „odświeżnie” „odstawione” centrum przechodzi w bardziej naturalne dla tego miejsca brogi z sianiem, zwyczajne chałupki i zagrody dla bydła.

Na skraju lasu parking z ławami, stolami i extra-konimem pod kielbaski — wymarzone miejsce dla naszej wółowo-wieprzowo-owczej z Milejczyc. Rzucamy się zbierać chrust. Po godzinnej sjeście na szerokim stole kierujemy się ponownie na północ. Cywilizacja nie daje za wygraną: asfalt, przy nim rozsiadłe na śródleśnych polanach wieś w typowymi domami, ze sklepami, w których można ulżyć zapieczonemu przez skwar i wiatr gardłu. Wsi nie trzeba szukać, jak można by wnioskować z mapy — całkiem wygodnie i wcale licznie leżą sobie przy wspomnianym asfalcie. Gdzie te bezdroża, kiedy Jagiellonowie i Sasowie?... I już wiem, skąd moja marokotność i niejękie rozczarowanie „białowiejszczańskim problemem”: to już tylko taki większy las.

Za jakimś przysiółkiem wśród łąk — samotny dom, nie zamieszkały. Cały z gliny i drewnianych, zakonserwowanych na czarno polan, złożonych na krzyż. Oglądamy to cudo, któremu ani w głowie zaważyć się; dach na nim przywoity, chciałoby się powiedzieć: przewspaniał, gdyby nie to, że typowe.

wy. Warstwa polan wzdłuż ściany, warstwa gliny, warstwa polan w poprzek ściany i tak od podmurówki po dach. Zastanawiamy się, czy minister budownictwa dostalby zawału, gdyby to zobaczył.

Jedziemy aż do zwartej, puszczańskiej ściany, która drwi sobie z naszych azymitów: na lewo asfalt i Narew, na prawo wyjeżdżone koleiny i nie wiadomo co. Bliższe sercu okazało się odgałęzienie z paroma niewiadomymi, na którego końcu powinna czekać Narewka. Nareszcie możemy posmakować puszcę. A komarzyce — naszą krew. Złośliwe te stworzenia okazały się nieczule na naturalne odruchy pociągania, kontemplacji. Ile razy zatrzymaliśmy się, obsiadały nas z jazgotem. Pozostawało kręcić i to w miarę ostro. Po kilku (kilkunastu?) kilometrach przebijania się na wschód, leśny dukt wyrzuca nas na asfalt, oczywiście w Narewce!

Kupujemy mleko prosto z banki zamurzonej w źródłanej wodzie i zasięgamy języka: w Lewkowie Starym trzeba skręcić na wschód i jechać do Gródka przez Bandary — lepsza droga. W Lewkowie jednak asfalt się nie kończy, mijamy rozgałęzienie dróg i — nie wiadomo dlaczego — niesie nas dalej prosto aż do mostu. Za nim we wszystkie strony tylko polne, piaszczyste drogi. Wracać? Szkoda nóg, pedałujemy na Blaszuki. Jeżeli diabeł jest na tyle uprzejmy, by mówić komukolwiek dobranoc, na pewno czyni to wobec mieszkańców mijanych pustkowi. Po wysoko cywilizowanej Puszczy Białowieckiej — nareszcie siemiężne, znojne, białoruskie skróty.

W Eliaszkach przystając przy samotnej chałupce z kawałkiem płotu i rozpytuje o drogę.

— Wy pewnie głodni, zmęczeni? Chodźcie na obiad — słyszymy zaproszenie.

Stoję ostupiały. Wraca Marek, który jechał przodem, siadamy na ławeczce przy ścianie. Gospodyni, pod czterdziestkę (wygląda na pięćdziesiątkę), rozmawia szybko po białorusku z sąsiadką. Zabrakło zsiadłego mleka... Pojawiają się kapiaste talerze kartofli ze skwarkami, a zaraz po nich zsiadłe mleko. Jestem do tego stopnia zmęczony, że nie mogę jeść. Sakramentalne pytania: skąd, dokąd, po co?

— Wy macie żony? — pyta niewinnie sąsiadka — bo to jeden ma obrączkę, drugi nie.
— Mamy.

— Be tu dużo wdów. O, ta wdowa. Gospodyni łapie ściereczkę i rzuca się wycierać stódek, równie szybko myje garnek i łapie ze ściętego pnia jabłoni kosę: mach! mach! Biegnie na koniec liwego ogródka, by tam ją powiesić na drzewie. Patrzcie na wdowi taniec ze zrozumiem, ale nie mogę powstrzymać uśmiechu: Patrzcie, jaka patrzywa jestem! Dziesięcioletni chłopak ogląda z nabożeństwem rowery, staje obok i roziera nos oczami, nęci go przygoda; czuć przez skórę, że do słownie się lepi.

— Dawno pani pochowała męża?
— Będzie cztery lata.

Rozmawiamy z dziećmi, częstujemy cukierkami, ich ból, nie wiem, uświadomiony czy nie, jest moim: mnie z tego piekła beznadziejności udało się wyrwać. Jak będzie z nimi? Czy znajdą w sobie tyle uporów? Ja miałem wzorce, w wieku tego chłopaka wiedziałem, jak iść, żeby dojść, miałem też szczęścia na tyle, że nie marnowałem szans. Kto tutaj, gdzie nie ma nawet bitych dróg, zechce przyjąć, pożyć rok, dwa, żeby przybliżyć im świat?

Zegnamy się, może za rok, dwa, kto wie?

Terlecki zły. Kobięciny wyraźnie tokowały koło niego. Nic dziwnego — obfita broda, jeszcze obfitsza łuska — sama stateczność i powaga. Nie to co ja: włos rzadszy, ale jeszcze się trzyma, o brodzie lepiej nie mówić...

— Marku! Gdybyśmy zostali... — kuszę. — Dzieci idą spać, w takiej chałupce na pewno jest tylko jedna izba, włazisz do łóżka wdowy i... zostajesz! Marek parska gniewnie.

(Koniec odc. 8. — edn.)

POZOSTAWIONE poza politycznym układem Okrągłego Stołu (choć i sam układ chwycił się coraz bardziej), ekstremistyczne siły, głównie młodzieżowe, sięgnęły po pędzle, farby w sprayu i zwykłą kredę. Wojna hasel wypelziła na mury polskich miast. Uliczny parlament wykazał o wiele szersze zróżnicowanie światopoglądowe społeczeństwa niż to oficjalnie zakładano. Potwierdził także niecierpliwość, niewiarę i gniew młodych. Nigdzie na świecie nie kwitnie dziś tak graffiti jak w Polsce.

Sam termin ukuli amerykańscy socjologowie pod koniec lat 60., w dobie studenckich rewolucji w USA i Francji. Oczywiście źródła napisów na murze należałoby szukać zapewne u początków cywilizacji. Pragnienie natychmiastowego, publicznego wyrażenia swych myśli towarzyszy człowiekowi od zawsze. „Mene, Tekel, Fares”. „No Passaran”, „Danzig Zurück Zum Reich”, „Polska Walczy”, „3x Tak”, „Make Love Not War” — dziesiątki epok, setki orientacji, wielorakość motywów. Wielkie polityczne zrywy, ale i małe dziecięce zadłamańca: „Byłem tu”, „Jaka F. to dobra koleżanka”, „Mariola jest głupia”; wojna dzielnic — „Kalina to dziady i tępić ją trzeba; kto tępi Kalinę, ten pójdzie do nieba” i zachwyty futbolowych fanów — „Motor King”, „Motor Magic”, „Avia Jude”.

Ktoś, nie do końca słusznie, powiedział, że polskie graffiti to wyłącznie polityka i obscenia, że brak tu rozmachu i fantazyjności, że daleko do kolorów i głębi rysunków na berlińskim murze czy choćby melancholii ze ścian amsterdamskich kamieniczek.

Zapiski kontestującego odłamu Pomarańczowej Alternatywy skrywają w sobie refleksję i przewrotne poczucie humoru. Pobrzmiewa w nich polityka, ale głównie specjalne „czucie bluesa” — ironiczny odzew na czasy i układy absurdu, które holubimy jak nikt już inny na świecie. Jest w tym otoczka naiwnego romantyzmu, ale także irytacja i niezgoda. Graffiti bowiem to sprawa impulsu, znak międzypokoju, odbicie rzeczywistości, w której ściana dźwięku jest zbyt powolna, a zakazy zbyt liczne.

„Wiatr — to tylko powietrze, które się śpieszy”, „Szczęście, takie niby nic, a jak go nie ma, to jakby kamyczek w butcie”, „Czy żyjesz codziennie?”, „Precz z „prezdem””, „Współczuję ci wam, którzy się narodzicie”, „Ogłaszam stan nieustającej szczęśliwości”, „Życie przed tobą?”. Różne są tu źródła inspiracji i różny odcień wypowiedzianych idei.

Czasami może to być prosty zestaw nie przystających do siebie wyrazów: „Sacypiorek, twarożek, świnia”, kiedy indziej parafraza idiotycznego sloganu reklamowego: „Pasta Pomocin”, naszym wielkim narodowym bogactwem” czy „Jeśli pumek, to tylko fluorescencyjny”, czasami konotacja literacka: „Zima wasza, wiosna nasza, a lato Muminków”; odprysk Orwellowski: „Teocie przemijają, a żaba zostaje”; zaczepna retoryka: „Kto spłodził Smerfusia?” czy analogia filmowa: „Ramba pomóż MO”. Nawet polityczne hasła Alternatywy pozabawione są jednoznacznej agresji: „Prawdziwych komunistów poznajemy po biedzie”, „Partię kochaj albo rzuć”.

W podobnej konwencji mieszczą się gry słów, przeinaczenia i swoisty świat neologizmów. „Spray it” (pomaluj to) zamiast „Say it” (powiedz to), „MOPsy”, „MONument”, „Nasza ceła dobrobyt”, „Demokratyzacja”, „Bad, bad, totally red” (zły zły, cały czerwony), „Spray War” (wojna na farbę w sprayu).

Ułomnością polskiego graffiti jest kulawa anglicyzacja. To zjawisko superpowszechne, mające jakby przybliżyć rodzime fobie do wielkiego świata, wprowadzić je w wymiar kosmopolityzmu. Tymczasem to jedynie kolejny dowód na preferencje młodego pokolenia, wychowanego na muzyce pop i wzorcach określonej subkultury. Czasami zjawisko to spotyka się z odruchem sprzeciwu („Fajnie jest pisać po angielsku, bo nikt nie rozumie”), najczęściej jednak po prostu irytuje: „Fuck off the Queen!” (?), „Punks not dead”, „Fuck off Soviet Union”, „Love Maryika”.

Gros sloganowych ofert to jednak polityka. KPN, NZS, PMW (Polska Młodzież Walcząca), PPS, Solidarność Walcząca, anarchiści — sygnowani wyrazem LAGA i pierwszą literą alfabety ujętą w okrąg — czasami także Wolność i Pokój, rzadziej Alternatywa. Wobec frontального ataku tych sił, próby kontrataków ze strony legalnych ugrupowań są mialskie. Mają one zresztą na podłożu konkretny prasowy i telewizyjny. Bywają wzniosłe i takie niefortunnie przypadki podjęcia wyzwania,



„Zima wasza, wiosna nasza, a lato Muminków”

POLSKIE GRAFFITI

Wiesław Horabik

jak „Partia pany”, gniewne „Niech zdechnie „Solidarność” czy nawet „PZPR walczy!”.

Graffiti to jednak przede wszystkim uliczne dziennikarstwo; gwałtowne, jętrzące, zaczepne i bezkompromisowe. W przewrotny sposób to także swoiste antidotum na hasła wywieszane niedługo na fabrycznych bramach, kolejowych wiaduktach, centralnych gmachach osiedli; hasła, których źródła upatrywać trzeba w epoce, kiedy to komunizm był powiewem nowego, a które nagle stały się puste i bez pokrycia. Uświadomienie sobie tego faktu jest zabiegiem ważnym.

Mimo formalnego zróżnicowania w politycznym graffiti przeważa antykomunizm i antysowietyzm. Nie bez znaczenia jest tu jednak odcień emocjonalnego ataku. Od głośniego „Precz z komuną!” czy „Sowieci do domu!” aż po „A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści” czy „PZPR” (przy czym litera Z uformowana jest w swastykę). Inne hasła z tego obszaru oscylują między tymi dwoma skrajnościami: „Wielki brat patrzy”, „Czuj się do Wolgi”, „Pij i bronij” (a obok rysunek żołnierza z czerwoną gwiazdą na hełmie i butelką gazalną w dłoni), „Ludzie, ruszcie się, komuna sama nie upadnie”, „PZPR — sowiecka agentura” czy napis w toalecie „Tu, się robi ser dla ZSRR”.

Obiektem szczególnie gwałtownego sprzeciwu są także siły represyjne i armia. Ten hasel nie jest tu także jednoznaczny. „Służba wojskowa może być przyczyną wielu groźnych chorób” służy do kwadrantu maroczkistów UB, SB, WSW, Armia Czerwona; „Pomóż milicji, pobij się sam” z „Uderz mnie, a powiem ci, kim jesteś”; „Sprzedam cię. Tow. Wojciech” z „Jestem kapłanem, co? — SB, UB, MO”.

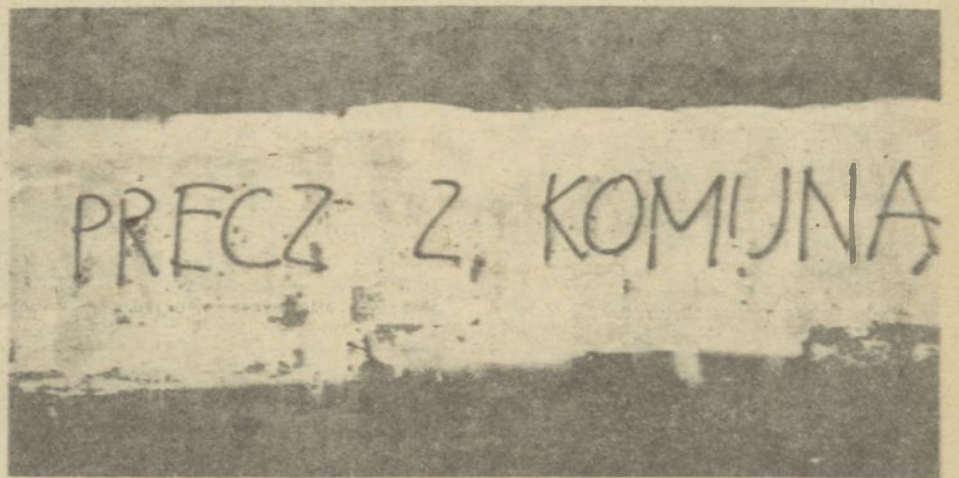
Zdarzają się ataki na przywódców i reakcje na doraźne wydarzenia polityczne. W okresie czerwcowych wyborów obok eksplozji plakatów pojawiło się także wyborcze graffiti. „Solidarność zwycięży”, „Tylko Solidarność i cierpliwość zapewnią nam zwycięstwo”, „Człowiek rodzi się, żyje i umiera wolny”, ale także „Głosuj na CPN”, „Głosuj na Genowefę Pigwę”, „Bolek i Lolek do Sejmu, a miś Kolargol do Senatu” czy „Czterej pancerni do Sejmu, a Szarik do Senatu”. Nowo powstały układ związkowy komentowano: „Walcą kolaborant, Miodowicz dezodorant”; wybory prezydenckie: „No Passaran” obok sylwetki generała Jaruzelskiego, zaś serię gwałtownych podwyżek cen — „PPS przeciw podwyżkom”.

Czy można lekceważyć ów uliczny tygiel nastrojów?

ne nadziei, a po części upatrujące szansy w radykalnych przemianach systemowych. Jest to z całą pewnością obraz prawdziwy, choć uchwycony w wyjątkowym czasie. Graffiti bowiem pojawia się zawsze wtedy, gdy rozbuchają się emocje, gdy stare odchodzi w przeszłość, a nowe jeszcze się nie narodzi.

Nie musi być ono zresztą wyrazem buntu zbiorowego, czasami odbija jedynie małe samotne dramaty: „Twórz swoje życie”; dzieciinną vendettę: „Wituch zginie”; naiwny apel wobec ludzi: „Nie bójcie się”. Najczęściej jednak jest próbą identyfikacji, wpasowania się w określony układ, w szerszą zbiorowość.

Aktywne są nie tylko grupy polityczne i odłamy subkultury. Czasami ważny jest sam ogólny styl bycia czy sprawy szersze: „Drugs, sex and rock”, „Seksualność” — wypisana solidarycją. „Czy wolno zabijać człowieka od 15 cm” (odprysk dyskusji o ustawie aborcyjnej), „Darkness” (ciemność), „88 to my”, „Ziemie nie odziedziczyliśmy po



Fotografował Waldemar Stępień

przodków, wypożyczyliśmy ją tylko od potomków”, „Atomowy błysk zabija dziecka wzrok”. Czasami są to hasła zupełnie oderwane od idei, przykład specyficznego luzu w podejściu do życia: „Pytko O.K.”, „Góra dokna”, „Let's skate or go home” (poślizgnijmy się lub chodźmy do domu), „Odłot” i wizerunek czarownicy na miotle.

Polskie graffiti posiada również swoje specjalistyczne. Są to napisy użytkowe, doraźne wskazówki, praktyczne informacje. Numery telefonów, strzałki adresów, ogłoszenia: „Remont od... do...”, „Szukam przenośny na Kurkińskiego”, „Zająć, jestem na video — Szywny”, „Witek i Mirek — Lombard” (chodzi o jedną z lubelskich młodzieżowych kawiarni).

Jedną z całej masy napisów i rysunków obscenicznych. Tutaj jednak jakby brakowało fantazji; dominuje prosty, nachalny wulgaryzm.

Powstały w Polsce wytwórnie specjalnych matryc, a szybkościenne farby w sprayu idą w młodzieżowym środowisku jak przysłowiowe gorące bułeczki. Niektóre miasta ustawiają „ślepe” kawałki muru pod ten święty Hyde Park. Uliczna wojna trwa. To z pewnością zjawisko, barometr nastrojów i powód do zastanowienia. Nie pomogą rymy „Tylko knury mają spray”, ani coraz rzadsze już zresztą próby zamalowywania sloganów. Niektóre formy graffiti — te z gatunku plakatu ulicznego — trafiają do muzeów (sam widziałem replikę „Guerniki” podpisanej: „Picasso and Kozioł”).

Polska młodzież, a przynajmniej znaczna jej część, wkroczyła na wojenną ścieżkę, rozpoczęła swoją SPRAY WAR. „We are in war-show” — wypisano grubym drukiem w paszynie pod Alejami Ujazdowskimi. Ten swoisty przegląd wojennych nastrojów powinien być wkalkulowany w każdą dyskusję o przyszłości Polski.

25 SIERPŃNIA. Przekroczyliśmy Narzew po drewnianym prowizorycznym moście, przeszliśmy przez puszcę myszyńską i to w nocy. Deszcz lał jak z cebra, w lesie ciemno, zimno człowiekiem trzęsie. Nie wie się, gdzie idzie. Od czasu do czasu stukam nosem w olecy poprzednika. Co za marsz! Cały się trzęsę i szcękam zębami. Jasiek Wencel chory. Cóż mu poradzę, ledwie sam idę. Już piąta po południu, a my od rana nic nie mieliśmy w ustach. Ludzie jak cienie, idą i słaniają się. Gdzieś radość przysła. Przekleństwa sypią się pod adresem oficerów (ale pod nosem) Ktoś tam krzyknął:

— Te, zła z kunia! Dranu jeden! Dostaliśmy 15 minut odpoczynku.
— Powstań, maszerować!
— Do dłaśca — myślę sobie — kiedyż to się skończy?

— Kompania marsz!

26 SIERPŃNIA. Stoimy na placówce od wczoraj wieczora. Wedoty porozstawiane dookoła. Chodziłem z patrolem, a wczoraj na przedzie jako „oko”. Nie obawiałem się już niczego ani nikogo.

28 SIERPŃNIA. Może dostaniemy trochę odpoczynku. Podobno w tych dniach jedziemy do Warszawy na odpocznik, a potem pod Lwów. Może nasza ciężka dola się skończy, bo podobno ma być zawieszenie broni z Rosją Sowiecką. Oby tak zawarli pokój! Wczoraj podróżyliśmy pieszo przez 17 godzin. Przyszliśmy tu o godz. 11 w nocy. Ludzie padali po drodze ze zmęczenia. Gdzieś okólną drogą wybierać, kiedy są tak proste!

— Psiekrwie! — mrucleni żołnierze — jadą na „kuniach” i na bryczkach i kręcą nami.

Ciężka jest służba żołnierza, dla „piechocińca” nie do pozazdroszczenia. Tak ciężki ten krzyż, że znosząc go cierpliwie, można się zahartować.

Głód panuje i bałagan w pułku. Chamstwo językowe, że aż uszy puchną słuchać. Obrzydliwość. Te szarże, a frajtry to wielkie bogi. Chwilami miałbym ochotę lupnąć którego w łeb kolbą od karabinu, bo mnie krew zalewa. Złodzieje, świntuchy! Brz. Nas, harcerzy, rozsypano po pułkach i kompaniach. Z dwustukilkudziesięciu ludzi pozostało nas kilku. Reszta w 13, 36, 21 pułkach, należących do tej dywizji. Część zginęła. Mały Oleksiak padł pod Ostrowem.

Żle się w ogóle czuję, smutny — zdaje mi się, że wszystkie smutki idą moim śladem, idą ze mną spać.

31 SIERPŃNIA. W Lublinie rozpoczęły się zapewne lekcje, a my tu wokół Ostrołki włóczyliśmy się od Kajfasza do Annasza. Wczoraj wieczorem nocowaliśmy nad Narwią. Głęboki wieczór zapadał, zorza odbijała się w falach rzeki — łagodnych falach, ołych. Chmury spłyły się jak ogniwa łańcucha. Pływały po niebie i pływały po wodzie. Rozsypywały się, a potem piętrzyły, tworząc góry obrzynie, potem dmiły w pasma, nasycały światłem i ciemniały w kir załobny.

Wies zasypiała. Czas usposabiający do wspomnień, marzeń i wdychań:

— Ach, jak to było dobrze — dawniej.

2 WRZESŃNIA. Idziemy do Zgierza, a stamtąd do Warszawy.

3 WRZESŃNIA. Przybyliśmy do Serocka. Tymczasem czekamy na połączenie kolejowe i czyszcimy garderobę z naleciałości nędzy. Pojedziemy podobno pod Zamość, który Budionny ma oblegać, a może pod Lwów.

Do Warszawy przyjechała delegacja pokojowa celem porozumienia się z rządem co do warunków pokoju.

5 WRZESŃNIA. Zatrzymaliśmy się na parodniowy postój. Czesiek Zadrożny pojednął na urlop do Warszawy. Może mi co przywiezie od krewnych.

Jestem żołnierzem inspekcyjnym — to druga figura, bo pierwszą jest oficer. Nie mogę się nigdzie ruszyć. Siedzę w stodole, albo zaszczynie w kancelarii kompanii. Nudy okropne. Fantazja poszła gdzieś w ką. Zazdrość mi, że ten spryciarz wymknął się do Warszawy. Chłopak użyje, może dostanie co czystego na siebie, bo go wszy ogryzły.

6 WRZESŃNIA, SEROCK. Oczekuję na Czeska, może go wydebi. Podobno od 15 września mają nas zwalniać ze służby wojskowej. Pan Bóg wie, jak to będzie. Ale to była radość! Opuściłbym te gęby plugawe... Gdyby nie to, czułbym się dobrze. Kiedy człowiek pomyśli o czymś podnioslejszym, to ci brylanty tak dygnitarz błotem i koniec. Chętnie przeniósłbym się gdzie indziej, do innego pułku, ale chyba w wojsku

wiekował nie będę. Wstąpiliśmy w najkrytyczniejszej chwili, spełniliśmy już swoje zadanie, powinniśmy wrócić na ławę szkolną. Pan Bóg mnie do tej pory strzegł i cały jestem.

8 WRZESŃNIA. Tańczyliśmy dzisiaj przy dźwiękach Mazurka Dąbrowskiego i to w drodze. Śmieszny widok, kiedy cała kompania podryguje w marszu, a chłopcy obracają się jak na węglach. Gorzej, że Jasiek pojechał za sianem. Pułk odjeżdża. Gdzie my się spotkamy?

Trochę nas niesprawiedliwie traktują, porozsypywali nas zupełnie. W tej kompanii jest nawet tylko jeden harcerz. Klina nas zupełnie niesłusznie. Powiadają, że gdyby nie my, to wojna już dawno by się skończyła. Durmie skończono!

10 WRZESŃNIA. Zawód. Nie przez Lublin a Skierniewice, na Kraków — Przemysł — Lwów.

13 WRZESŃNIA. Przybyliśmy. Mrok ocieniał ziemię, gdy długa, wężowa kolumna wysunęła się z miasteczka. Na horyzoncie widać góry. Tam mamy iść. Podobno bolszewicy w pobliskiej wsi.

— Nabić! — padł rozkaz. — Bezpiecznik!

Idziemy w milczeniu, od czasu do czasu słychać szczyknięcie lopatki albo postękiwanie któregoś z zuchów. Zrobiło się tak ciemno, że trudno było

WAKACJE Z BRONIA

Aleksander Kielasiński

utrzymać łączność. Trzymaliśmy się za wystające przedmioty.

— Stój!
Z dali widać jakieś światełko.
— Rozejść się. Siadać.
Przycupneliśmy na wilgotnej i zimnej trawie i zaczęliśmy gwarzyć.

— Wiecie co — powiedziałam — już się otrzaskałem trochę z wojskiem.

— I ja też — powiada Czesiek. — Najgorsze były pierwsze chwile. Nawet do cywila nie tęsknię.

— Tak tylko mówisz — rzucił Maks — ale długo bym cię widział, gdyby cię zwolnił.

Zaczął mżyc drobny deszczyk. Zięb. Poszczeliwanie zębami. Jeden drugiego nie widzi, a słyszy, czuje palcami.

— Wiecie co — począł Czesiek tajemniczo. — Dziś o drugiej w nocy mamy zająć pobliskie miasteczko nad Dniestrem.

— Czyżby?

— Skąd o tym wiesz?

— Cicho — powiada — to tajemnica, mówił mi łącznik od porucznika.

— To będzie trochę rozgrzewki — powiedziałam — bo mnie już w kości szpink zamarza.

Wiadomość ta podziałała na mnie denerwująco. Każda żyłka się we mnie trzęsła.

— Daj no, Czesiu, papierosa — powiedziałem. — Doda mi werwy.

Zapaliłem. Poczęliśmy gwarzyć, dawac nawzajem polecenia „przedśmiertne” ale nas sen zmorzył. Naraz bęcnał mnie ktoś w bok.

— Wstawaj — powiada. — Idziemy na wywiad.

— Która godzina?

— Pierwsza.

— Kto idzie?

— Czterech, a ty piąty.

Wyruszamy po omacku. Szukamy Dniestru, bo nad nim leży owo miasteczko, które mamy zająć. Z dali widać jasne mgły. Gdzieniegdzie gwiazdy widać na niebie. Idziemy brzegiem rzeki, w której odbijają się dziwne blaski, których gdzie indziej nie ma. Jakby z głębi wody wychodzą.

Spotkaliśmy patrol 36 pp, który nam podał, że bolszewicy z wieczora opuścili miasteczko. Stamtąd wracają. Szkoda. Światło, kiedy wróciliśmy na wspólne leże.

Słychać teraz huk ciężkich dział. Może 7-8 km od nas. Musimy dziś zetknąć się z bolszewikami, a nie mam butów, bo ich resztki z nóg mi spadają. Wloką się za mną jak najwierzniejszy pies. Od czasu do czasu ktoś z „przyjaciół” staje na ogonie i ja jak długi kładę się na ziemię.

14 WRZESŃNIA. Godzina 2 w nocy.

— Pobudka!
Przecieram oczy brudnym kulakiem, wstając i wkładam czym prędzej rym-sztankę.

— Te, łącznik, gdzie idziemy? — pytam.

— Na wypad.

— Zarz?

— Nie, potem.

Wyfasowaliśmy porcje chleba z papierosami i czarna kawą. Po posiłku wyszliśmy przed domek. Zbiórka! Zaspiani, potrącając jeden drugiego, ustawiliśmy się w dwuzerę. Było jeszcze ciemno. Trzecia!

Idziemy wzdłuż toru kolejowego już z godzinę. Z obu stron las, przed nami droga nieznamna.

Światło. Wschód się zaróżowił tak, jakby źle rozrobiona farbą ktoś niebo pomazał. Poprzez rozsunięte chmury zaczęły się sypać żółte smugi, które ubarwiły dalekie góry pokryte lasem. Potem natkało się czegoś żywego między chmury, jakby dzień się zaczął robić. Ale to nie był jeszcze dzień.

Między drzewami widać coś błyszczącego. To woda — trochę srebrna, trochę złota, bez określonej barwy.

— Kompania stój! — padł rozkaz.

Nastrozył się we mnie umysł. Zrobiła się cisza jak na rozkaz i w cisłości ruszyliśmy dalej, bez szcęk.

Dzień rozpoczął się beże mnie, nie wiedziałem kiedy. Z dali sterczały lufy armat naszej baterii, opodał przewinęło się kilkunastu jeźdźców. Słychać trzask karabinów.

— Ładuj broń! Uwężaj!

Tratatata... — bolszewicki piesek trąkocze. Pac, pac — padają kule karabinowe. Zaczyna się robić gorąco. Kule niektóre bzykają, inne świszczą, ale na tym się skończyło. Bolszewicy pięty nam pokazali. Szelmy! A tak chciałem jednego bolszewika ustrzelić.

Wróciliśmy do wsi i rozłożyliśmy się obozem.

15 WRZESŃNIA. Na linii tuż pod miasteczkiem, które mamy zdobywać. Jakaś Lipa? W kukurydzy siedzimy. Artyleria bije, ale daleko poza nas. Nie wiemy, że tu siedzimy. Jem kukurydzę z głodu. Dostaliśmy się tu przez las, nie-łas. Gęsty taki, z posyciem, że kładliśmy się, aby utorować sobie drogę. Młody zagajnik, a szliśmy z godzinę („Mordy podrapane, włosy jak ba-dyle”).

W tyralierze po wyjściu z lasu miałem niemilą przygodę z sekcyjnym Popką. Ublżył mi niesłusznie. Sklądłem go od capów, durmów, że przybiegł do mnie z bagnetem, ja do niego i tak staliśmy ciężko dysząc. Trzymałem palec na cynglu, lecz szybko ochłonałem. Zamieszanie na linii. Patrzy moi, co z tego będzie, patrzy szarże. Uprzytomniłem sobie chwilę, w jakiej się znajdujemy; skłuliśmy się, wysapali i poszli dalej, złym wzrokiem patrząc na siebie.

— Popko da ci bobu — powiada Jurek Kędracki.

— Zobaczymy — warknąłem.

Rozłożyliśmy się — jak mówiłem — pod miastem. Szrapnele rwą się poza nami. Brzuch mnie zaczyna boleć od tej kukurydzy, skręcają mi się wnętrzości. Jezu, Jezu! A tu kule zaczynają świstać. Jedna pacnęła przed nosem i piaskiem oczy mi zasypała.

16 WRZESŃNIA. Huk armat i karabinów. Słońce poza mgłami jeszcze niskie, nie widać na jakimś kawałku nieba.

Siedzę na kamieniu przed chatą. Przybyliśmy tu wczoraj wieczorem, aby odpocząć. Nim żeśmy się zabrali do snu, przybiegł łącznik i piątą kompanię postawił na nogi, kiedy jeszcze na dobre nie siadła.

Moja sekcyjna ma placówkę z karabinem maszynowym. Piętna noc. Gwiazdy błyszczą na niebie jak coś niepojętego. Zdaje się, że z ich blasku powstawała tu droga mleczna! Niebo granatowe, prawie czarne.

Będę miał za swoje, myślę sobie, bo Popko prowadzi sekcję. Ten mi da bobu! Popko rozstawił wedoty. Karabin maszynowy zostawił z czterema innymi, a mnie powiódł w jakiś zakamerek światła. Niebo nad głową i niebo pod głową. Nie widać między tymi niebami granicy.

— Włóż pan — mówi (przez pan) — bagnet na broń i nabój w lufę. Pytać, kto idzie, a potem — strzelać. Zrozumiano?

— Zrozumiano, panie sekcyjny.

— To czuwaj. Zmienię was potem.

Takie mi „bobu”. Trochę mnie ten Popko wziął. Jakaś tkiwa nuta w jego głosie. Pal go sześć — myślę sobie. Zbadalem teren. Scisnąłem karabin. Ukłękłem na jedno, potem na drugie kolano i zacząłem się wkoło rozglądać. Cisza. Nic nie widać. Spłoty mi się gwiazdy w jeden łańcuć i poleciałem wzrokiem za nimi. Powiał lekki, chłodny wiatr. Płatało mi się coś przed oczyma i — zdrzemnąłem się. Huknęło coś w oddali, świst kul. Oprzytomniałem! — kula w łeb za to spanie. Nastawilem uszy, wytrzeszczyłem oczy i... nic nie słyszałem i nic nie widziałem. Może mi się zdawało, że to kule świszczą. Uszczypnąłem się w udo — czuję, więc już nie śpię.

Naraz gwizd kuli koło ucha. Bęcnałem w powietrze. Popko przyleciał, pościągł nas do kupy i puścił w ruch karabin maszynowy. Potem stamtąd ucichło i my przestaliśmy strzelać. Przewornie wycofaliśmy się. Nie wiem, kto do kogo strzelał.

Najlepsza sprawa, bo Jasiek dzisiaj przyjechał. Ucieszyliśmy się, że będziemy znowu razem. Miał tysiąc przypadków, nim z Warszawy tu przybył.

Dzisiaj miały szarże naradę — sąd nad moją sprawą. Udzielono mi nagany, z tym, aby się więcej nie powtórzyła sprawa podobna sprawie z Popką. Z wielką powagą zakomunikował mi to kapral Kowalewski i laskawie poklepał po ramieniu. Nic na to nie odpowiadałem.

20 WRZESŃNIA, TARNOPOL. Po długich kłopotach przybyłem do czołówki sanitamej. Jestem chory i wewnątrznie, i zewnętrznie. Nogi mam pościerane, odpadzone, zęby obolale, cały spuchnięty! Oferma. Pułk nasz poszedł do Zbaraża.

Z czwartku na piątek atakowaliśmy bolszewików. Idziemy kolumną marszową. Naraz dają się słyszeć strzały. Pojawia się ulan z 11 pułku i melduje dowództwu, że przed nami kawaleria w sile 800 koni. W przeciągu paru minut rozkazy zostały wydane, a że był tylko 2 batalion, więc on rozsypał się w tyralierę. Nasza kompania wzięła prawe skrzydło, szósta — lewe, siódma — środek, a ósma pozostała w rezerwie. Batalion pierwszy zajął przód, trzeci — ubezpieczał boki. Widać było jedynie (wraz z kawalerią po bokach jako ubezpieczenie) jednego wielkiego węża, pociętego na drobniutkie części. Czekamy i wyglądamy.

Noc już zapada, wysunął się księżycowy sierp na sklepieniu nieba, zaczyna chłód nas przejmować. Jednocześnie chce się spać, bo poprzednia noc zesza na placówkach. Okopałem się, podłożyłem chleba pod głowę i — zasnąłem. Zbudziło mnie szarpnięcie.

— Wstawaj, do pioruna! Bolszewicy przed nami!

Z dali jakby we mgłach pojawili się konni jeźdźcy i potem zniknęli. Potem znowu cisza, a zimna noc nas otula.

Jasiek przysunął się do mnie i powiada:

— Zimno mi!

Plaszca nie ma, bo mu gdzieś po drodze przepadł. Przykryliśmy się moim i — przyklepaliśmy do siebie — drzemaliśmy do rana. Dostaliśmy kawy, ale nie zdążyliśmy jej wypić, bo musieliśmy ruszyć dalej ku Złotej Lipie. Były meldunki, że bolszewicy będą chcieli się przedrzeć przez nas.

Zajęliśmy jakąś górę. Przed nami rzeka i wieś czy miasteczko. Przeszliśmy w błąd przez rzekę. Woda zimna po pachy. Na drugiej stronie łączyny się i strzelamy salwami do wsi, a potem biegniemy w tyralierze przez wieś. Tor kolejowy. Ktoś między chałupami łazi. Trzymam karabin gotowy i strach mi trochę, bo nie mam nikogo obok siebie na 20 kroków.

Zdobyliśmy Złotą Lipę i rozłożyliśmy się na nocleg. Dostała się nam chałupa wilgotna, garść słomy przesiąknięta wodą, a tu człowiek z wody wyszedł.

Dziwny był ranek po przebudzeniu się. Wyjrzałem z chaty: wojsko idzie i idzie i idzie. Co tu wojska! Piechota, artyleria, kawaleria, tabory. A mnie się zdawało, że tylko sami jesteśmy i nikogo za nami. Patrzyliśmy z radością i dumą, że przecież nie jesteśmy tylko sami — garsteczka.

21 WRZESNIA. W SZPITALU. Gołe „nary” porostawiane, dokoła brudne ściany. Czuję się trochę przygnębiony.

22 WRZESNIA. Słaby jestem, nie mogę się ruszać wielce. Pojedziemy, zdaje się, do Lwowa, a stamtąd... może do Lublina. Na myśl o tym, aż mi się „dobrze” robi. Nie wiem co mi jest — nic mnie nie boli, a takim słaby.

23 WRZESNIA. Mają nas gdzieś autami odstawić. Poznałem tu ulaną z 5 p.

1920

Mirakowskiego, który mi opowiada o brawurowych wypadach na sklepy z butami i wódką, i innych sprawkach ulańskich. Może to trochę błyszczące życie, ale — moralne zero. Teraz po opuszczeniu kompanii czuję się innym człowiekiem — cywilem.

24 WRZESNIA. W Kosowie badał mnie lekarz i znalazł wadę serca, co znaczy, że pożegnałem kompanię, a front na zawsze. Psiakrew! Trudno się mówi, będę lazikiem. Ale skąd u mnie wada serca?

25 WRZESNIA. Znow przybyliśmy pociągiem jak barany; co samochód do Kosowa mnie wytrząsł, to pociąg wyduł. Będą nas segregowali.

26 WRZESNIA. Badał mnie znów lekarz i orzekł, że mam wadę serca. Muszę jakiś czas poleżeć. Do 10 dni ma być zawarty pokój. Tak się tu wyspałem w miękkim łóżku, że rozkosz! Po dwumiesięcznej przerwy spałem prawie bez przerwy przez 24 godziny, nie nie jedząc, a trochę pijąc. Teraz wszystkie spania na dworze, w błocie i w wodzie wydają mi się snem jakimś, a nie rzeczywistością. Raz się też najałem, wszy może się spaliły w czasie dezynfekcji ubrania.

31 WRZESNIA. Czuję się dobrze. Objadam się za wszystkie czasy. Siostra Seweryna dba o mnie. Dziś w nocy tylko coś mi strzyknęło w krzyżach, naderwałem się. Jeden z chorych majaczył w nocy, rzucał się na łóżku i spadł na podłogę. Wstałem, aby mu pomóc, dźwignąłem go, ale zrobiło mi się jakoś dziwnie słabo; i jego upuściłem i sam upadłem. Zrobił się rumor. Lekarz mnie sklął za takie wstawania i — muszę odleżeć, ale zupełnie już spokojnie. Trudno się mówi.

3 PAŹDZIERNIKA. Jadę za godzinę do... domu! Prawda to. A jakże — mam trzytygodniowy urlop wypoczynkowy, w kieszeni pieniądze na drogę — zółd. Przecież nikt mi tego nie zdoła przerwać. Chodziłem dziś parę godzin po Lwowie, dumny. Salutowałem wszystkie szarże (w kompanii tego nie było), bo słyszałem, że jak przyłapią na niesalutowaniu to urlop przepadnie.

4 PAŹDZIERNIKA, LUBLIN! Przyjechałem o 4 rano kurierem z przeprawami, bo chcieli mnie wywalić po drodze z takiego pociągu — bo jechałem z biletem i dowodem na pociąg osobowy. Ale było nas więcej i nie daliśmy się wyrzucić. Nic nie pomogły perswazyje. Jechać musimy, a prędko chcemy. Zresztą biedota wynędziała chce się jak najszybciej dostać pod dach rodzinny.

Dobrze mi w domu. Chodzę jak paw dumny i radosny, że może bieda się nie powtórzy, że co najgorsze, to już minęło.

Ludowcy prawdziwi i fałszywi (2)

PSL

Antoni Mieczkowski

PRZYJAZD Stanisława Mikołajczyka do kraju stwarzał nadzieję na zachowanie przez Polskę niezależności i budowanie podstaw ustroju demokratycznego. Dlatego miał on ogromne poparcie nie tylko chłopów, ale całego społeczeństwa. Wkrótce miały się te nadzieje rozwiązać, ponieważ:

1. Polska z racji swego położenia geograficznego była głównym celem polityki radzieckiej we wschodniej Europie (w kraju stacjonowały liczne oddziały Armii Czerwonej i działała NKWD);

2. państwa zachodnie praktycznie przestały zajmować się bieżącymi sprawami wschodniej Europy;

3. władza polityczna Mikołajczyka jako wicepremiera nowego rządu bliska była zeru;

4. wszystkie instrumenty władzy znajdowały się w rękach PPR.

W tych warunkach, jak twierdzi Zbigniew Brzeziński, popularność Mikołajczyka nie miała politycznego znaczenia, a wzrastająca świadomość obywateli, że Zachód nie udzieli opozycji skutecznego poparcia, umożliwiała zastosowanie wobec PSL coraz silniejszych dawek terroru.

Za podstawowe kanony ustroju Polski PSL uznawało:

1. własność prywatną i inicjatywę prywatną;

2. pracę człowieka jako jedyny tytuł uczestnictwa w podziale dochodu społecznego;

3. równorzędność warstw społecznych, chłopów i robotników oraz ich organizacji politycznych;

4. trójpodział władzy na ustawodawczą, wykonawczą z prezydentem na czele i sądowniczą;

5. prawa człowieka i obywatela;

6. zasadę, iż siły zbrojne nie mogą być wykładnikiem interesów jednej klasy społecznej czy partii;

7. iż partie polityczne nie mogą podlegać przepisom ustawy o stowarzyszeniach, gdyż są czynnikami ustroju państwa.

PSL stało na stanowisku teorii państwa jako umowy społecznej, opowiadało za koncepcją tradycyjnej demokracji parlamentarnej. O postulowanej organizacji władz demokratycznej Polski pisano w programie z 1946 r., uważając, iż zadecydować o jej kształcie może tylko naród w wolnych i demokratycznych wyborach. Opowiedziano się za tym, by naród sprawował władzę przez sejm, rząd, prezydenta i niezależne sądy. Prezydent zaś miał być wybierany przez cały naród w powszechnym głosowaniu.

W swym programie PSL jednoznacznie wypowiedziało się przeciwko dominacji jednej klasy (robotniczej) i jednej partii (komunistycznej) w życiu społeczno-politycznym. Konsekwentnie podkreślało, że „administrowanie państwem powinno należeć do rządu oraz samorządu terytorialnego i gospodarczego. Odrodzony i szeroko rozbudowany samorząd miał przejąć wiele funkcji, spełnianych dotąd przez administrację rządową. Postulowano utworzenie sądów specjalnych (administracyjnych), które miały sprawdzać legalność zarządzeń władz administracyjnych i samorządowych. Za krzywdy wyrządzone obywatelowi przez sprzeczne z prawem decyzje administracyjne winni odpowiadać karnie sprawcy tych decyzji i skarb państwa. Zbliżenie wymiaru sprawiedliwości do społeczeństwa miało nastąpić poprzez niezależne sądownictwo oraz sądy pokoju z udziałem zawodowych sędziów i wybieralnych „Jawników”.

Za konieczny warunek współpracy międzypartyjnej PSL uważało zasadę: „Wolni z wolnymi, równi z równymi”, a w pracy nad tworzeniem ustroju demokratycznego domagało się udziału zgodnego ze znaczeniem „społecznych i moralnych sił warstwy chłopskiej”.

Sejm, według założeń programowych PSL, miał być zwierciadłem autentycznego układu sił politycznych, a więc winny być w nim reprezentowane wszystkie partie polityczne o demokratycznym programie państwowym. Konstytucja Polski Ludowej miała zapewnić demokratyczność wyborów parlamentarnych, prawo każdej partii do zgłaszania własnej listy kandydatów i prowadzenia nieskrępowanej działalności wyborczej. W odezwie wyborczej PSL pisano m.in.: „Nie zgodziliśmy się na blok wyborczy wszystkich stronnictw, nie dałyśmy on bowiem swobody wypowiedzenia się narodowi, kogo darczy swoimi zaufaniem i jaka powinna być polityka państwowa”.

PSL nie uważało KRN za reprezentację narodu polskiego. Pod koniec 1946 r. zasiadało w niej 57 posłów — członków PSL. W Sejmie Ustawodawczym Stronnictwo to miało 28 mandatów.

Jedną z ważnych przeszkód w działalności PSL było to, że 28 maja 1946 r. ministrowi administracji publicznej, Władysławowi Kiernikowi, odebrano prawo decydowania o zgromadzeniach i przekazano w ręce ministra bezpieczeństwa publicznego, Stanisława Radkiewicza. Kolejnym utrudnieniem było utworzenie Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Powołanie tego organu państwowego Stronnictwo uznało za akt sprzeczny z Konstytucją marcową z 1921 roku. teore-

tyczni uznawaną za obowiązującą. Decyzje urzędów cenzorskich były bezapelacyjne, ponieważ nie było żadnej prawnej formy odwołania.

Na XI sesji KRN posłanka Hanna Chorążyna w dyskusji nad dekretem o cenzurze stwierdziła, że jest on sprzeczny z art. 105 Konstytucji z 1921 r. i dlatego: „udowodnienie sprzeczności niniejszego dekretu z konstytucją w każdym państwie, za jakie i my chcemy się uważać, jest wystarczającym argumentem do uchylenia zatwierdzenia dekretu”. W imieniu Klubu Poselskiego PSL wyraziła protest przeciw konfiskacie w prasie przemówień posłów tego Stronnictwa wygłoszonych na X i XI sesji KRN.

Na XI sesji KRN Stanisław Wójcik (sekretarz naczelny PSL) wyraził negatywny stosunek Stronnictwa do projektu ordynacji wyborczej, uzasadniając, że projekt ów gwałci art. 12 i 14 Konstytucji z 1921 r., bo przewiduje pozbawienie zarówno prawa czynnego, jak i biernego przez komisje wyborcze (obwodowe). Ponadto projekt ten łamie zasadę konstytucyjną art. 10 o nielączeniu mandatów z urzędem, ponieważ zezwala na kandydowanie wojewodów i wicewojewodów z okręgu swego urzędowania, „co może fatalnie zaciążyć również na wyniku głosowania”. Dowodził także, iż nie ma uzasadnienia przepis stanowiący, iż ogłoszenie wyników głosowania należy do generalnego komisarza. Przepis ten, zdaniem Klubu Poselskiego PSL, dawał pole do nadużyć wyborczych. Projekt nie przewidywał sankcji karanych za nadużycia i przestępstwa popełnione w akcji wyborczej. W konkluzji swego wystąpienia Wójcik stwierdził, że projekt nie ma absolutnie nic wspólnego z demokratyczną ordynacją wyborczą z 1922 r.

PSL ustosunkowało się pozytywnie do koncepcji głosowania ludowego; zastrzegając się stanowczo, iż w żadnym razie nie może ono zastąpić wyborów do Sejmu. W okręgowych komisjach głosowania ludowego reprezentanci PSL stanowili ok. 15,5 proc. ogółu przewodniczących, a w obwodowych ok. 10 proc. W komisjach wyborczych do referendum ludowego, liczących ogółem 70 tys. członków, zasiadało zaledwie 3 tys. przedstawicieli PSL — w komisjach obwodowych na 17 okręgów. Według danych zebranych przez PSL z 9805 obwodów głosowania, ponad 8 proc. głosów oddano na opozycję. Pod groźbą natychmiastowego zawieszenia „Gazety Ludowej” musiano wydrukować w niej oficjalne wyniki referendum.

Ogólny bilans represji wobec PSL w okresie poprzedzającym wybory sejmowe obejmuje aresztowanie 147 kandydatów na posłów z list okręgowych, 15 z list państwowej, 1962 działaczy terenowych oraz wielu mężów zaufania, delegowanych przez PSL do obwodowych komisji wyborczych. Około 100 tys. członków Stronnictwa przeszło przez areszty i przesłuchania. W okresie walki wyborczej zamordowano 128 działaczy

Dokończenie na str. 11



Fot. Waldemar Stępień

„JA W SWOJEJ RZEźBIE KRAWIECTWA NIE UPRAWIAM”

Rozmowa z Bronisławem Kubicą, autorem pomnika Bolesława Bieruła w Lublinie

— Pomnik, którego jest pan autorem, wzbudził wiele emocji wśród mieszkańców Lublina i w końcu decyzją Rady Narodowej został usunięty. Co mógłby pan powiedzieć o historii jego powstania?

— Pomnik powstał w wyniku konkursu zamkniętego, zorganizowanego przez Pracownię Sztuk Plastycznych (Oddział w Lublinie) na zlecenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR i władz miasta Lublina; do udziału w konkursie zaproszono imiennie artystów rzeźbiarzy. Ten konkurs miał dwa etapy. W pierwszym uczestniczyło prawdopodobnie 12 zespołów, lecz ten etap nie dał efektów w postaci projektu do realizacji. Mnie zaproszono do udziału dopiero w drugim etapie i po prostu wygrałem ten konkurs.

— Były jakieś sugestie co do sposobu przedstawiania postaci?

— Sugestie są zawarte w założeniach każdego konkursu. Stawia się warunki od strony czysto fachowej, jak lokalizacja, urbanistyka, a także ideowe, mówiące o tym, jak należałoby podchodzić do problemu. Natomiast co do wydzielenia artystycznego istnieje zawsze taka formułka: „Zostawia się swobodę twórcy autorowi”. Wiadomo, różnie z tą swobodą twórczą bywa. Zawsze przy tego typu pomnikach „politycznych” są jakieś naciski.

— W wypadku tego pomnika również?

— Dostęcznie zaczęto się zbliżyć, że wszystko, co zaproponowałem, zostało przyjęte bez jakichkolwiek ingerencji. Mogę powiedzieć, że moja wizja została od początku do końca zrealizowana.

— O ile wiem, tempo realizacji było błyskawiczne. Dlaczego?

— Pośpiech wynikał stąd, że przecież dopiero drugi etap konkursu przyniósł efekt realizacyjny. Projekt mój zatwierdzono w listopadzie 1978 roku, a odsłonięcie planowano na 22 lipca 1979 roku. Na wykonanie całego pomnika miałem więc tylko pół roku. Kiedy myślę teraz o tej realizacji, to sam nie wierzę, że mogłem ją tak szybko zrobić i nigdy w życiu bym się nie podjął tego drugi raz. Mimo tego tempa, poziom rzeźby nikt nie kwestionował. Wręcz odwrotnie, otrzymałem od komisji artystycznej Pracowni Sztuk Plastycznych ocenę — „poziom wybitny”.

— Ale chyba wynagrodzenie za pracę było odpowiednim?

— Moje honorarium za ten pomnik wynosiło 3,5 miliona złotych. Właśnie dzięki temu stworzyłem sobie warunki do pracy zawodowej. Bo dotąd żadnych nie miałem.

— Czy przed przystąpieniem do pracy zapoznawał się pan bliżej z samą sylwetką Bieruła? Czytał pan jakieś biografie, opracowania jego postępowania?

— Czy pani sobie wyobraża, że mając do dyspozycji pół roku na tego typu realizację, mogłem się jeszcze wgłębiać w jakieś szczegóły działalności tego człowieka? Po wtóre, te rzeczy były niedostępne i do tej pory wiele jeszcze faktów związanych z Bierulem owianych jest tajemnicą.

— Jaka była więc pana koncepcja twórcza pomnika Bieruła?

— Bieruła funkcjonował w tym czasie jako twórca Manifestu Lipcowego, reformy rolnej, nacjonalizacji itd. I takie były założenia ideowe konkursu. To, co istotnym, wydawało się ówczes-

nym działaczom znakomite, bo, prawdę mówiąc, potraktowałem tę postać nie w sposób konwencjonalny, XIX-wieczny.

— Wykonując ten pomnik, wiedział pan, że pański bohater z cokołu ma tyłu na sumieniu?

— Te wszystkie rzeczy wyszły dopiero w tej chwili. Owszem, mógł wiedzieć tylko ten, kto bezpośrednio, osobiście doznał krzywd ze strony tego człowieka czy też ze strony ludzi jemu podległych. Zresztą w takich przypadkach autor jest postawiony przed sytuacją, że przecież nie on kreuje ideowo daną postać. Rzeźbiarz jest tylko wykonawcą i w zasadzie pełni rolę typu usługowego. Wtedy ta postać została wykreowana przez władze polityczne. Ja nie chcę zajmować stanowiska co do osoby Bieruła jako takiej. Jest to rzecz historyków i polityków. Niech oni rozstrzygną. Mnie interesuje problem dzieła rzeźbiarskiego. Ostatecznie uważam, że artysta nie powinien sugerować się sprawami politycznymi. Mnie to, prawdę mówiąc, nie interesuje. Może to i trochę egoistyczne, ale uważam, że rzeźbiarz ma prawo do samorealizacji artystycznej.

— W każdym przypadku? Nie zetknął się pan nigdy z sytuacją odmawiania przez artystów udziału w konkursach, których idea czy postać, jaką trzeba wyrzeźbić, im nie odpowiadały?

— Osobiście nie znam takiego przypadku. Natomiast, jeśli mam być szczerzy mogę powiedzieć, że gdyby twórca był niezależny w sensie materialnym, to na pewno by się to zdarzało. Taki konkurs jest ogromną szansą dla każdego. Ale wyboru, czy ja mogę sobie pozwolić na to, że rezygnuję lub nie, to ja nie miałem. Odmówienie równałoby się przekreśleniu możliwości istnienia, egzystencji. Nie ma w zasadzie innych możliwości realizacji rzeźby monumentalnej. Konkursy — jest to jedyna droga do samorealizacji autora, do jakiegokolwiek realizacji. W gruncie rzeczy przy pracy typu koncepcyjnego nie patrzy się na to, kogo i co się rzeźbi, tylko myśli się, żeby realizować swoje zamierzenia. Bo przecież nie ma dla rzeźbiarza bardziej interesującej rzeczy, jak skonfrontować swoje myślenie z materią i zrealizować tę myśl w przestrzeni. Gdyby wachlarz propozycji był większy, można by wybierać. Miał swoje sympatie i antypatie. Ale takiej sytuacji w tym kraju nie było. Jest szczęściem, jeżeli ktoś raz w życiu zrealizuje pomnik.

— Moment odsłonięcia pomnika, ukazania go ludziom w całej okazałości, jest zatem dla rzeźbiarza ogromnym wydarzeniem. Czy uczestniczył pan w odsłonięciu?

— Przy odsłonięciu pomnika być, byłem, ale z tyłu, w tłumie. Wtedy nawet mojego nazwiska nie wymieniono. Ale to jest normalne. To takie polskie. Tak właśnie traktuje się artystę. Na zasadzie: „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”.

— Jaki był stosunek mieszkańców do pomnika, kiedy go w Lublinie montowano?

— Zabrzmiało to niewiarygodnie, co powiem, ale była wręcz odwrotna sytuacja niż dziś. Ogromna masa ludzi pomagała przy przygotowywaniu placu pod pomnik. Wiele przedsięwzięć. Zainteresowanie było ogromne nie tylko w samym Lublinie. Wszędzie tam, gdzie wykonywano jego elementy.

Można nawet powiedzieć, że bez zaangażowania tych wszystkich ludzi, którzy nam pomagali, nie zdążylibyśmy z terminem. Również podczas montażu nie spotkałem się z żadnymi negatywnymi opiniami ani na temat pomnika, ani samego Bieruła. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że pomnik stanął dzięki wysiłkowi całego miasta. Naprawdę ogromna liczba przedsiębiorstw brała udział w pracach przygotowawczych pod pomnik. Był w tym wszystkim jakiś entuzjazm.

— Wiele osób zwracało uwagę na to, że pomnikowy Bieruła ma płaszcz zaپیęty na damską stronę. Czy mógłby pan to wytłumaczyć?

— Ja w swojej rzeźbie krawiectwa nie uprawiam. I prawdę mówiąc, tego tam nie ma. Jeżeli ktoś złośliwy chce się dopatrzeć, że widać tam taki czy inny płaszcz, to błądzi, gdyż jest to dość syntetycznie potraktowana bryła. Uważam raczej, że są to złośliwe uwagi, które mają dodatkowo ośmieszyć i tak już skompromitowaną postać. Do ręki też niektórzy mieli zastrzeżenia, jeszcze w fazie projektowej. Że niby on tą wyciągniętą ręką wykonuje gest, że ma to wszystko w dupie. I obawy takich interpretacji wychodziły z kręgów partyjnych. Ci panowie są wyjątkowo wrażliwi na tego typu historie. Zdołałem im jednak udowodnić, że gest lekceważenia jest inny niż zrealizowany. Ale każdy pomnik można interpretować na wiele sposobów. Przy każdej realizacji można coś takiego zamontować.

— Jak pan przyjął fakt usunięcia pomnika?

— Uważam, że to dla mnie ogromny policzek. Nawet mnie o takim zamiarze nie powiadomiono, choć tego wymagała zwykła przyzwoitość. Ja nie wiem, czy wszystkim się wydaje, że autor w ogóle nie istnieje? Czy myśli się, że artystę można kopać, niszczyć, łamać, że to glaz, który nie czuje, nie widzi, co się dzieje? Przecież to strasznie zobaczyć swoje dzieło, swoją pracę, którą w tak bezpardonowy sposób niszczy się. Na widok tego jak dzieło jest demontowane, coś w człowieku się „przekreśla”. Tego nie jest w stanie przeżyć, zrozumieć ktoś, kto

dzieła nie zrobił własnymi rękami, nie wylał ileś tam potu przy pracy. Fakt usunięcia pomnika i całą tę aferę wokół niego uważam za świadome odwrócenie uwagi społeczeństwa. A najbardziej cierpi na tym dzieło i jego wykonawca. Inna sprawa, że takich Bierułów jest w tym kraju tysiące i za tych należałoby się faktycznie wziąć i rozliczać, a nie odgrywać się na martwej rzeczy. To samo dotyczy realizowanego przeze mnie, a nie skończonego pomnika „Radom 70”. Dziwne wiatry wieją.

— Uważa więc pan, że pomnik powinien pozostać na miejscu?

— Po co go chować? Ten pomnik powinien być przestroga. Tak jak funkcjonują pomniki Oświęcimia, Treblinka, Majdanka. Niszczenia dzieł nie uważam za zdrowy objaw. Jeżeli już dochodzi do tego, oznacza to upadek. Pomnik ten jest znakiem danego czasu i powinien pełnić rolę kulturotwórczą i ostrzegawczą jednocześnie.

— W stosunku do pomnika posiada pan, jako twórcę, prawa autorskie. Czy nie zostały one naruszone?

— Niewątpliwie posiadam niebywale prawa autorskie do tej pracy rzeźbiarskiej; nawet w umowie o wykonanie dzieła zostało to sformułowane: „Zamawiający zobowiązuje się zabezpieczyć dzieło przed wszelkimi działaniami godzącymi w autorskie dobro osobiste Twórcy”. I to jest problem, o jakim ci wszyscy, którzy zdecydowali się pomnik usunąć, zapomnieli. Wyrządzono mi zatem ogromną krzywdę moralną. Absolutnie. Tak postąpić, to po prostu niegodziwe. Sytuacja, która się wydarzyła w Lublinie, godna jest uwagi i poważniejszego zastanowienia, bo to problem, który może dotyczyć każdego dzieła i każdego artysty. Wynika z tego, że dzieło może być bezkarnie niszczone przez jakąś osobę prawną, która nabyła prawa jego posiadania. A jeżeli dzieje się tak jak się stało, to możemy się pozbawić w ogóle naszego dorobku kulturowego.

— Czy wie pan, że podczas transportu rzeźba została uszkodzona i czy w związku z tym ma pan zamiar, zgodnie z prawem autorskim, poczynić jakieś kroki na drodze prawnej?

— O zadośćuczynieniu jeszcze nie wcześniej mówię.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Violetta Krasnowska

Bronisław Kubica — absolwent pracowni rzeźby profesora Franciszka Strzykiewicza w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Prowadzi zajęcia z zakresu rzeźby na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej.

PRECEDENS!

Ocena, czy usunięcie pomnika Bolesława Bieruła narusza czyjkolwiek prawa, a w szczególności prawa autora, w obecnej chwili nie jest jeszcze możliwe, gdyż jako sytuacja precedensowa nie była przedmiotem rozważań w naszym orzecznictwie i doktrynie prawa. Można nawet stwierdzić, że powstała sytuacja ma charakter precedensu w skali światowej. Wymaga więc dokładnego zbadania przede wszystkim w oparciu o przepisy ustawy z 1952 roku o prawie autorskim i postępowaniu umowym zawartej między twórcą Bronisławem Kubicą a zamawiającym, jakim są Pracownia Sztuk Plastycznych. Niewykluczone również, że w rachubę mogą wchodzić i inne ustawy, jak na przykład ustawa o ochronie dóbr kultury.

Zasadniczym problemem, jaki w tej sytuacji się wyłonił, a który obecnie szeroko się dyskutuje w kręgach prawniczych, jest brak ustalenia dokładnej granicy między prawami do dzieła autora i właścici-

ciela, który poprzez zakup nabył te prawa. Zgodnie z prawem chroniącym autora, właściciel dzieła nie może, bez zgody twórcy, zmienić kształtu dzieła, tzn. dodawać, odejmować, przemalowywać, domalowywać itp. Poza tym właściciele nie krepują żadne inne prawne ograniczenia co do dysponowania swoją własnością, gdyż nigdzie nie jest napisane, że nie może dzieła niszczyć. Wynika z tego absurdalna sytuacja, pozwalająca w zasadzie właścicielowi na wszystko.

W konkretnej sytuacji autor pomnika nie ma prawa kwestionowania decyzji usunięcia pomnika. Gdyby jednak obiekt, jak wiemy — uszkodzony podczas transportu, był nadal eksponowany, bądź to znacząco, że prawo autorskie zostało naruszone i to znacząco z tym twórcą mógłby mieć domagając się zakazu ekspozycji dzieła, naprawienia szkody bądź innego zadośćuczynienia.

V. K.

Dokończenie ze str. 9

PSL, w 327 lokalach Stronnictwa przeprowadzone rewizje, w 29 powiatach władze zawiesiły działalność Stronnictwa.

Szanse Stronnictwa zostały także poważnie ograniczone poprzez wprowadzenie do akcji wyborczej wojska, u nieważnienie w 10 okręgach wyborczych (na 52) list PSL oraz pozbawienie ok. pół miliona osób prawa głosu. Członkowie PSL nie zostali dopuszczeni do komisji wyborczych. Wreszcie trzeba dodać, że na wielką skalę realizowano zasadę zbiorowego głosowania, manifestacyjnie jawnego.

Oficjalne wyniki wyborów do Sejmu Ustawodawczego zostały zanegowane przez PSL, które złożyło protest generalny i 52 protesty ze wszystkich okręgów wyborczych. W świetle materiałów tego Stronnictwa — prawie 84 proc. głosów oddano na PSL. Stanisław Mikołajczyk na pierwszym posiedzeniu Sejmu w dniu 4 lutego 1947 r. powiedział: „Odpowiedzialność za złamanie zobowiązań danych narodowi, że wybory w Polsce będą «wolne i nieskrępowane», spada więc wyłącznie na partie zablokowane. Wnieśliśmy przeciwko tym wyborom protesty we wszystkich okręgach wyborczych i będziemy dążyć do tego, aby wybory te w całym kraju były uznane za nieważne”. Hanna Chorążyna twierdzi, że główny komisarz wyborczy, Kazimierz Bzowski, sędzia Sądu Najwyższego, zamiast wysłać protesty PSL do tegoż sądu, trzymał je przez kilka miesięcy, a potem przekazał Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego.

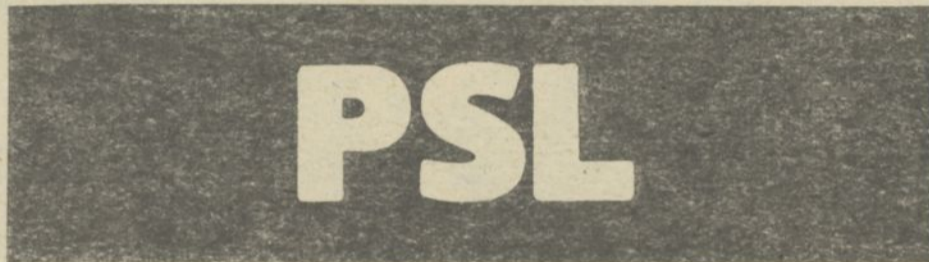
Klub Poselski PSL był przeciwny powołaniu instytucji Rady Państwa, ponieważ naruszałoby to zasadę podziału władz, zasadę autonomii samorządu terytorialnego i zasadę odpowiedzialności aparatu państwowego przed Sejmem. Przemawiając w imieniu Stronnictwa poseł Stanisław Wójcik powiedział: „Projekt konstytucyjny posłów PPR i PPS (tzw. Małej Konstytucji — przyp. A.M.) wprowadza dualizm władz. Z jednej strony rząd i ministrowie odpowiedzialni przed Sejmem — z drugiej zaś urząd rad państwa na czele — ciałem odpowiedzialnym przed nikim. Projekt więc wprowadza nieśmiało, jeszcze wstydliwie, stopniowo w Polsce urząd rad (...), system rad stwarza pozory demokracji, pozory ludowładztwa, nie wspólnie z prawdziwą demokracją nie mające. To pełnia władzy rad, ale bez władzy ludu. Władza jest bowiem w rękach kilku osób. Według projektu tą władzą dyktatorską jest kilkuczęściowa Rada Państwa, nie odpowiedzialna ani parlamentarnie, ani konstytucyjnie”.

Instytucja rad narodowych, będąca istotnym oparciem dla partii tzw. bloku demokratycznego, spotkała się z niejednolitym stanowiskiem PSL. Kierownictwo i przeważająca część aktywu optowała za likwidacją instytucji rad narodowych, uważając za ich główną reorganizację. Nie mogąc zaś wpłynąć na ich likwidację, PSL postulowało ograniczenie znaczenia rad do roli przedwojennego samorządu terytorialnego. Jednym z argumentów było wykazanie rozbieżności między strukturą i rolą rad narodowych, a przepisami obowiązującej wówczas Konstytucji marcowej. Z tych rozbieżności wynikała krytyka nadzoru nad radami (lansowano koncepcję oparcia ustroju rad na zasadach federalnych, według których samorząd terytorialny miał nie

podlegać centralnym organom władzy i ich kontroli oraz postanowień dotyczących nominacji wojewodów i starostów. Domagano się też zreformowania zakresu działania rad, opracowania ordynacji wyborczej, powołania gromadzkich organów samorządowych, a przede wszystkim usamodzielnienia rad narodowych.

PSL starało się konsekwentnie zmierzając do powiększenia swego udziału w radach narodowych, czemu zdecydowanie nie przeciwstawiały się PPR i SL. Minimalnym celem PSL było zdobycie nie mniejszej liczby mandatów niż miały w radach obie partie robotnicze.

Stronnictwo to protestowało przeciwko reorganizacji rad według koncepcji peerowskiej (wykluczanie radnych, rozwiązywanie rad) i proponowało utworzenie klubów radnych. Po wyborach w 1947 r. postulowało wydatne zwiększenie kompetencji rad narodowych, sugerując m.in. rozciągnięcie ich uprawnień na sprawy Milicji Obywatelskiej i Bezpieczeństwa Publicznego. PSL domagało się także wolnych



i demokratycznych wyborów do rad narodowych, ponieważ dotąd jako ciało niewybieralne nie wyrażają woli narodu, do którego należy cała władza w państwie.

Do wiosny 1947 r. PSL miało duże wpływy w gminnych radach narodowych: w województwie rzeszowskim prawie 69 proc. mandatów, kieleckim — 58 proc., krakowskim — 52 proc., lubelskim — 35 proc. W połowie 1949 r. w gminnych radach narodowych reprezentacją tzw. odrodzonego PSL liczyła tylko 567 osób, czyli 0,9 proc. ogólnej liczby radnych tego stopnia.

Troską PSL było maksymalne ograniczenie roli i zakresu działania Związku Samopomocy Chłopskiej, przekazanie jego najważniejszych funkcji spółdzielczości społeczeństwa. Postulowało, aby ZSCH stał się związkiem zawodowym rolników, pozbawionym uprawnień gospodarczo-produkcyjnych, by nie angażował się w działalność polityczną. Forsowanie przez PPR i SL uniwersalnych gminnych spółdzielni Samopomocy Chłopskiej, jako instytucji politycznych w wsi, PSL uważało za bezsensowne i niezgodne z warunkami gospodarczymi. Stronnictwo sygnalizowało, że ruch spółdzielczy w Polsce został nadmiernie upolityczniony i podporządkowany PPR. W założeniach programowych PSL podkreślano, że ruch spółdzielczy powinien kierować się następującymi zasadami ideowo-organizacyjnymi: powszechność, apolityczność, jedność, solidarność, specjalizacja gospodarcza.

Za istotny element ustroju rolnego, poza indywidualnym gospodarstwem rodzinnym i spółdzielczością, Polskie Stronnictwo Ludowe uważało samorząd rolniczy w postaci Izby Rolniczych oraz zjednoczeń gospodarczych. Każda z tych jednostek gospodarczych miała działać samodzielnie w swoim zakresie i ponosić za swą działalność pełną

odpowiedzialność. Przewidywano dla tych jednostek status osób publicznoprawnych. Centralna Izba Rolnicza miała być naczelnym ciałem nad rolnictwem, łącznie z przetwórstwem rolnym, obrotem płodami rolnymi, spółdzielczością, oświatą rolniczą i wyższymi uczelniami rolniczo-społdzielczymi.

W ruchu ludowym zarówno w latach trzydziestych, jak i czterdziestych bieżącego stulecia, żywe były tendencje do utrzymania jedności szeregów jako warunku skuteczności działania i zachowania samodzielności. Na przodu Polski Ludowej wielce wpływowy ruch ludowy został rozbity i uwikłany we wzajemną walkę, której koszty są bardzo wysokie dla Polski, demokracji i wsi. Są one powiększone przez następstwa likwidacji struktur niezależnego PSL, Stronnictwa Pracy i reformistycznego ruchu socjalistycznego. Nie zdano natomiast wyeliminować z pamięci, bo to jest niewykonane, tych wartości moralnych i politycznych, które propagował niezależny, agrarystyczny ruch ludowy.

Wraz z likwidacją Mikołajczykowskiemu PSL zakończył się etap działań.

ności niezależnego ruchu ludowego w Polsce. SL i tzw. odrodzonego PSL nie można, jak sądzę, uważać za stronnictwa ludowe, ponieważ były ekspozyturami PPR na terenie wsi. Kierownictwa tych stronnictw przyjęły zasady programowe ruchu komunistycznego (w wersji stalinowskiej) i popierały proces sowietyzacji kraju. Ci członkowie-ludowcy, którzy działali w ich szeregach ze względów ideowych, zostali przed zjednoczeniem usunięci (ponad 100 tys. osób).

Zjednoczenie ogniw SL i tzw. odrodzonego PSL było zaprogramowane przez kierownictwo PZPR i SL. O nazwie, statucie, deklaracji ideowo-programowej Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego zdecydował Komitet Centralny PZPR, ZSL stało się organizacją dekoracyjną i usługową w ówczesnym systemie politycznym, który i tej, prawie nic nie znaczącej organizacji, groził likwidacją.

Nad dziejami ruchu ludowego w początkach Polski Ludowej należy dalej prowadzić badania historyczne, ponieważ na wiele pytań historycy — co nie jest ich winą — nie dali jeszcze odpowiedzi. Moim zdaniem, należy szybko opublikować prace habilitacyjne i inne, powstałe w kraju i poza jego granicami, dotyczące powojennych dziejów wsi i ruchu ludowego. W planach badawczych powinno dostrzeżać się potrzebę uwzględnienia działalności ludowców w krajach Zachodu po 1945 roku.

Dotychczas nie wiadomo, jaka liczba członków SL „Roch”, Batalionów Chłopskich i PSL przeszła przez więzienia i obozy w ZSRR i w Polsce. Nie znamy wyczerpującej odpowiedzi na pytanie dotyczące liczby zamordowanych członków PSL w latach 1945—

1947. Ile ofiar pochłonęły akcje pacyfikacyjne, prowadzone przez radzieckie i polskie siły bezpieczeństwa oraz oddziały wojskowe? Nie znamy dotąd rozmiarów infiltracji szeregów SL i PSL przez siły bezpieczeństwa, ani też liczby oddelegowanych do tych stronnictw członków PPR. Pytań badawczych jest jeszcze więcej, a odpowiedzi na nie uzależnione są od wielu czynników, przede wszystkim politycznych.

W podsumowaniu tych rozważań, z konieczności skondensowanych, można sformułować kilka konkluzji:

SL było organizacją „satelicką”, instrumencem PPR (PZPR) na terenie wsi, który miał przyspieszyć likwidację opozycji i przygotować chłopów do pogodzenia się z utratą własnego gospodarstwa, samorządu, wolności. Prokomunistyczne kierownictwo tego Stronnictwa (z wyjątkiem krótkiej prezesury Stanisława Kotka-Agro-szewskiego i Stanisława Bańczyka) realizowało z różnym powodzeniem te zadania, nie bacząc na potrzeby i aspiracje chłopów. Biorąc pod uwagę wyniki referendum i wyborów do Sejmu Ustawodawczego, podane przez PSL, można wnioskować, że za Stronnictwem Ludowym nie stało więcej niż 5 proc. mieszkańców wsi.

Do PSL wstępowali ci, którzy decydowali się na jawną akcję opozycyjną wobec władzy. Wokół tego Stronnictwa skupiały się wszystkie siły antykomunistyczne. Poparcie dla Mikołajczyka było naturalnym skutkiem tego, że społeczeństwo polskie w przynajmniej większości było przeciwne nowej władzy, ustanowionej przez PPR przy pomocy radzieckiej.

PSL chciało ustrzec Polskę przed sowietyzacją, rządami totalitarnymi, wstrząsami społeczno-politycznymi, omnipotencją państwa, kolektywizacją wsi. Dlatego też od początku swego zaistnienia było skazane na usmiercenie jako licząca się siła polityczna. Pogrom opozycji wiązał się ze zmianą polityki radzieckiej na arenie międzynarodowej (utworzenie Kominformu, odrzucenie planu Marshalla, izolacja Berlina, nacisk na Jugosławie).

Agraryzm — którego tylko niektóre tezy czas zdezaktualizował — i myśl polityczna niezależnego ruchu ludowego powinny być spożytkowane w pracy nad urzeczywistnieniem demokracji w Polsce. W środku nocy okupacyjnej, w ludowym piśmie konspiracyjnym „Przez walkę do zwycięstwa” (1942 r.) zamieszczono „Dziesięcioro przykazań chłopu-Polaku”, w ostatnim z nich wyrażono niezłomną wiarę w to, że „nadejdzie ostateczne zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości w świecie, że powstanie odrodzona niepodległa Polska Ludowa”. Czas pokazał, że nie mieli racji ci, którzy z taką determinacją niszczyli ruch ludowy, bo w sumie wyrządzili krzywdę i wsi i Polsce.

Antoni Mieczkowski

Listy

Jaki profil „Relacji”?

Jako syn ziemi lubelskiej czytam „Relacje”, bowiem wszystko co rodzime — nie jest mi obce. Rozumiem, iż zamieszczony w nr 28 „Relacji” tekst „Jaki profil. Relacji” jest zaproszeniem czytelników do dyskusji. Podzielę się uwagami, jakie nasunęły mi się przy czytaniu niektórych numerów „Relacji”.

Chwałę sobie to, iż piszecie o sprawach charakterystycznych dla tych ziem, oczekuję na następne publikacje dotyczące historii, kultu-

ry, stosunków społecznych, sytuacji w rolnictwie, przemyśle, szkolnictwie, zdrowiu, ekologii. Sprawy te ważne dla całego kraju, mogą być i powinny być postrzegane inaczej mając na uwadze pewną specyfikę „ziemi wschodnich”.

Mam natomiast wątpliwości, czy artykuły typu „Notatnik angielski”, „Fizyk w Gandawie”, „Polmos przed sądem” powinny być w „Relacjach” umieszczane — tyle własnych problemów prosi się o opisanie, a wyszukacie materiałów (wcale nie odkrywczych) gdzieś daleko, daleko.

Pamiętam już to, że cykl dotyczący Polmosu wart jest najwyższej i artykułu (dobrego artykułu, a zamieszciliście już panowie 7 odcinków sprawozdania szczegółowego z procesu — szkoda miejsca na typową

robotę „sprawozdawcy sądowego”). Moim zdaniem, taki cykl nie do wartościowuje „Relacji”.

Rozważenia wymaga również sprawa ilości i jakości materiału ilustracyjnego. Przy tej technice druku i papieru — umieszczanie obrazków, widoków miast, reprodukcji malarskich mija się, moim zdaniem, z celem — szkoda miejsca. Zamiast słabej ilustracji proszę o dobre, mądre słowo. O to nie powinno być w Lublinie trudno, wszak to miejsce dwóch uniwersytetów — fakt ten zobowiązuje.

Jeszcze słów parę o artykule zawartym w nr 28 „Relacji” w dziale „Polemiki”. Na przykładzie tegoż artykułu (list pewnej pani) mam prawo zauważyć, iż nie był on uważnie

przeczytany przez odpowiedzialnego redaktora. W owym liście zawartych jest tyle „półprawd”, stwierdzeń złośliwych, wręcz aroganckich w stosunku do mniejszości narodowych, że przerażenie człowieka ogarnia. Jak można tak nienawidzić ludzi i kultur towarzyszących nam od wieków, od zżarania państwowości naszej. Sprawy, o których pisze „Pani”, nie są wcale ani takie, jak zostały opisane i nie są takie proste. Niechże o tych sprawach piszą specjaliści, historycy, a tych w Lublinie (KUL i UMCS) chyba nie brakuje. Uważam, iż wypowiedź polemiczna tego typu i stylu wymaga od redakcyjnego komentatora — i o brak takiego komentatora mam żal do redakcji.

Lech Skowroński
Warszawa

Dokończenie ze str. 1

„No dobrze — powie Czytelnik-konsument — swinia to piękna rzecz, tylko co ja z tego będę miał?”

Otóż osiąga ona dojrzałość płciową w wieku 6—7 miesięcy, a loski można dopuszczać do knura już w 8—9 miesiącu życia. Cięża (prośność) trwa średnio około 3 miesięcy. Po czym rodzi się od 8 do 12 prosiąt (rekord światowy — 31), które w wieku 6—7 miesięcy osiągną wagę ok. 120 kg i jako tuczniki przeznaczane są na ubój. Hodowcy wiedzą doskonale, że przekroczenie tej wagi (120 kg) powoduje tylko przyrost tłuszczu, a nie mięsa. Produkcja przestaje być opłacalna (o rachunku tuczania będzie później). Jeżeli do tych wyliczeń dodamy, że od jednej lochy można otrzymać dwa mioty w roku, to spróbujmy pokusić się o małą kalkulację mnożenia. Załóżmy licząc. Dwa mioty po, średnio licząc, 10 prosiąt, odchowane do wieku ubojowego, dają nam około 2,5 tony żywcia. Przy bardzo wysokiej wydajności rzeźnej, wynoszącej 75—80 proc. czystego mięsa (bydło — 50—60 proc.) otrzymamy zatem 1800 kg mięsa! Tu mała dygresja.

Główny Urząd Statystyczny podał stan pogłowia zwierząt gospodarskich w Polsce w czerwcu 1989 roku. Wymyka z niego, że mamy niecałe 18 780 tys. sztuk świń (spadek o 4,3 proc. w stosunku do ub. r.), z czego 1800 tys. stanowią lochy (spadek o 11,8 proc. w stos. do ub. r.). Jeżeli zatem w ciągu roku wyhodujemy od każdej z tych loch prosięta z jednego miotu (średnio 10 sztuk, przy zachowaniu odpowiedniego cyklu produkcyjnego), to otrzymamy 18 mln tuczników. Z każdego tuczniaka o wadze 120 kg uzyskamy 90 kg czystego mięsa, co daje nam w sumie 1620 tys. ton (693 tys. ton — czerwiec 89 r.). Podzielmy to teraz przez liczbę mieszkańców Polski, a wynik (42,6 kg) „rozbijmy” na 12 miesięcy. Dowiemy się, że statystyczny Polak mógłby zjadać miesięcznie 3,5 kg samej wieprzowiny. Nie jest to ilość przyprawiająca o zawrót głowy (za Łabą, i nie tylko, zjadają znacznie więcej), ale biorąc pod uwagę ogólną wielkość planowanych (nie zrealizowanych) dostaw „masy mięsnej” (wołowina, wieprzowina, drób) na rynek w roku bieżącym, wynoszącej 1775 tys. ton (3,9 kg mięsa „na głowę” w miesiącu), rodzi się pytanie: dlaczego jest tak tragicznie, skoro mogłoby być nie najgorzej?

KUPA, MOŚCI PANOWIE!

Trzeci sierpnia, czwartek. Na skupie w Głusku — głucho. Zimno. Od siódmej rano siedzimy z kierownikiem Wachowiczem w pomieszczeniu wagowego, wyglądając od czasu do czasu na drogę. Pusto. Palimy „na rozgrzewkę” papierosy, przytupując nogami. Chłopi jakby się zmówili. Wzięli na wstrzymanie i ani myślą rozstawać się ze swym przybawkiem.

— W ubiegłym tygodniu też tak było — mówi kierownik. — Skupiliśmy zaledwie 17 świń i 7 sztuk bydła, a w „dobrych” czasach chłopi odstawiali w Głusku i 200 tuczników tygodniowo! Dzisiaj, jak pan widzi, i tych siedemnaście sztuk może nie być. Całkowita posucha — dodaje smętnie.

Nazajutrz dowiedziałem się, że w czwartek, 3 sierpnia, Zakłady Mięsne skupiły łącznie 337 świń. Tego dnia czynne były 34 punkty skupu w całym regionie. Z prostego dzielenia wynika, iż do każdego z nich chłopi dostarczyli po mieczkę 10 sztuk. Dużo to czy mało? Dla porównania, w ubiegłym roku, dokładnie 3 sierpnia, skupiono 965 tuczników.

Zobnisz się godzinę dziesiątą. Na horyzoncie pojawia się pierwszy autobus. Warkot traktora powoli cichnie. W klatce przypiętej do ciągnika pochrapyją cztery zwłocuchy. Niewiele. Ale już sam widok tuczników rodzi w wyobraźni srynkę i balerony. Swinie zbliży się w jeden kąt klatki i ani myśli wyjść. Popędzone gumową pałką, z wielkim kwikiem wdrapują się na wagę.

— 123... 123... 125... 131 kilogramów — liczy wagowy.

Po oznakowaniu świnię trafiają do małej zagrody, skąd zabierze je samochód z Zakładów Mięsnych. Tymczasem klasyfikator wypisuje kwit. Trzy z nich „pójdą” po 1100 zł, jedna po 830 zł (przekroczyła dopuszczalną w pierwszej klasie wagę 125 kg). Razem chłop zarobił... przepaszam, dostał 544 tys. zł. Dużo to czy mało?

— Dla was to fura pieniędzy — mówi chłop. — Ja będę się cieszył, jeżeli to pół miliona pokryje mi przynajmniej koszty tuczania, a z tym na dwie babki wróty. Dobrze wiemy, że dzisiaj produkcja żywcia, i nie tylko, stoi na pograniczu zysku i straty. Dużo zależy od tego, ile prosiaków bierze się na chów i czym się je karmi. Nie liczą już kosztów swojej pracy, bo i jak? A zresztą po co bawić się w drobiazgową wylicznicę, ile kosztuje kwintal ziemniaków, żyta, a ile Provit (koncentrat białkowy). Wystarczy, jak panu powiem, że w ubiegłym roku środki do produkcji rolnej, a więc nawozy, narzędzia, paliwo, środki obrotowe, pasza, drożdży od 50 do 200 proc. Natomiast to, co jest w stanie wyprodukować chłop, poszło w górę nie więcej niż 40 proc. Rachunek jest prosty — kolory.

Zwłocuchy pochrapyją zrezygnowanie w zagrodzie. Wiatr hula, a my wypatrujemy kolejnego „sznalka”. Przyjedzie, czy nie przyjedzie? Jest! Po godzinie nastąpi chłop przywidział też cztery świniaki. Tym razem wielka biała polska z uszami postawionymi na satoro. Po zważeniu w zagrodzie zaczyna się świńska wojna.

— Tuczniaki pochodzą z dwóch różnych gniazd — mówi wagowy, polewając pomieszczenie octem. — Wymruwają obcy zapach, a co ten zapach neutralizują.



Fot. W. Stępień

Rzeczywiście, po chwili swinie uspokoiły się i czwórkami ułożyły w dwóch przeciwnych częściach zagrody.

Chłop odebrał kwit, popatrzył i machnął ręką.

— Mało? — pytam zaczepnie.

— To nie tak, że mało — odpowiada. — Powiedzmy, że ta cena byłaby do przyjęcia. Tylko co z tego, jeżeli za te pieniądze nie mogę nic kupić. Gadają teraz o urynkowieniu, o rozbijaniu monopolu. Węgiel na przykład, traktory na przykład, pasze też, a jak już człowiek zechce pobudować oborę czy stodołę, to istny krzyż pański. To jakie to urynkowienie — ja się pytam? Sam się robi, jak w sklepach pusto. Wtedy na gwałt kupujemy mięso za granicą, płacąc po dolarze za kilogram (1 kg żywcia w I klasie — 1140 zł, 1 dolar USA ok. 7 tys. zł — przyp. aut.). Dlaczego nikt wcześniej nie pomyślał o zainwestowaniu tych dolarów w rolnictwo? Słyszałem, że gdzieś na Podhalu jeżdżą traktory robione domowym sposobem przez kilku okolicznych kowali. No to dajmy im kredyty, niech rozbijają państwowy monopol. Może wówczas nie będę musiał czekać na traktor 10 lat. Kupię sobie ten, który będzie tańszy. Bez zapisów, bez kolejki i bez kolatania do drzwi naczelnika.

Ludzie w mieście — dodaje — mówią, że chłopom się we łbach poprzeszerało i sami nie wiedzą już, ile brać za te świnię. Krzyk jest w gazetach, jak rosną ceny na skupie, a nikt nie krzyrzy, jak w tym samym czasie drożeją przykładowo nawozy czy narzędzia. Na mój chłopski rozum, jeżeli nie będzie jakiejś równowagi między minimalnymi cenami skupu, a cenami środków do produkcji rolnej, tak by opłacalność rolniczych gospodarstw była na granicy zerowego rozrachunku, to w efekcie, przy urynkowieniu, będziemy mieli tylko galopującą cen. Skończy się tak jak pierwszy i drugi etap reformy.

Tuż przed dziesiątą pojawił się trzeci i ostatni chłop. Przywiózł lochę, prawie 250 kg żywej wagi. Byłoby 20 prosiaków w ciągu roku. Każdy z nich po odchowaniu... Sakoda liczyć. Od tego mięsa na półkach nie przybędzie. Handel skończony. Tłoku nie było.

ZAKŁADY PUSTKĄ STOJĄ

W pół do ósmej rano skończył się całodzienny ubój. W przyzakładowych magazynach gospodarczych, mogących jednocześnie pomieścić 3 tys. świń — pusto. Tylko w bokсах dla bydła porusza kilkanaście byków i krów. To niedużo, jak na możliwości takiego potentata jak Zakłady Mięsne w Lublinie.

— Sytuacja jest, jaka jest — mówi zastępca dyrektora, Tadeusz Wróblewski. — A jaka jest, najlepiej widać w sklepach. Nic nie wskazuje na to, aby w najbliższych tygodniach nastąpiła radykalna poprawa. Ceny w sklepach i na skupie będą rosły tak długo, jak długo nie wzrośnie skup żywcia. Tрудно bowiem mówić o cenie równowagi, kiedy praktycznie ustala podaż. Sytuację dodatkowo zaciemnia fakt że całym adaje się nie wszyscy wiedzą, że mimo przesłania kartek mięso jest dalej dotowane. I tak przykładowo 1 kg schabu, przy cenie żywcia 1140 zł, kosztuje w zbycie 3720 zł (cena detaliczna po doliczeniu marży wynosi 3200 zł). Gdyby nie rządowa dotacja w kwocie 1630 zł, musiałby kosztować 4370 zł. Kielbasa z wyrazem z obecnej ceny 1200 (cena det. — 1500 zł) „skoczyłaby” na 2380 zł, a seberka z 720 zł na 1280 zł.

Chów świń, mówił dyrektor Wróblewski, funkcjonuje na zasadzie określonego cyklu produkcyjnego. Jeżeli powalanie w nim wyłom, spada automatycznie skup. W ubiegłym roku chłop miał



wo wyrzynał maciorę ze względu na nieopłacalność tuczu. Brak loch to brak prosiąt na chów, czego konsekwencją musi być spadek pogłowia tuczników. Wprawdzie z danych GUS wynika, że tuczników mamy więcej niż w roku ubiegłym, ale udział loch w ogólnej liczbie pogłowia zmniejszył się o 11,8 proc. Jeżeli nawet część świń, nadających się do uboju, chłopi przetrzymują w oczekiwaniu na jeszcze wyższe ceny, to i tak odstąpienie ich do skupu, tylko okresowo poprawiłoby sytuację na rynku. Stąd potrzebą chwili jest odbudowanie stad podstawowych, od których zależy nasze mięsne „być albo nie być”. Zakłady prowadzą w kilku wsiach własną hodowlę prosiąt, które później odsprzedają chłopom na chów. Ale, jak podkreślał Tadeusz Wróblewski, to wszystko za mało. Potrzeba przynajmniej roku abyśmy odzyskali znaczną poprawę „w temacie” kotleta schabowego.

— Jak można było wprowadzić urynkowienie — drwi się dyrektor — nie mając zabezpieczonych zapasów przynajmniej na trzy pierwsze miesiące funkcjonowania nowych zasad na rynku. W styczniu, kiedy sytuacja wyglądała znacznie lepiej, bo i pogłowie świń było nieco większe i relacja między ceną żywcia a ceną przetworów w zbycie była mniejsza, nikt o tym nie pomyślał. Teraz to się musi, ponieważ krach na i tak nie najlepiej zaopatrzonym rynku mięsnym.

Trzy dni później cena na skupie „podskoczyła” o 160 zł. Za kilogram żywcia płacono 1300 zł. W sklepach różnice były znacznie większe. Schab z 3200 zł „poszedł” na 4000 (przypominam, że są to produkty jeszcze dotowane), kureczki — 2600—3300 zł, łopatica — 1800—2200 zł, seberka — 850—1100 zł. Wędzonki — baleron: 4000—5000 zł, szynka 4400—5500 zł, podłaska: 2100—2800 zł, zwyczajna: 1500—1750 zł. Ceny te obowiązywały tylko w sklepach firmowych Zakładów Mięsnych (15 proc. marży), jako że LSS mogła sprzedawać drożej, zwiększając marżę nawet do 25 procent. Zakładając, że dotacje rządowe do kilograma mięsa nie uległy zmianie, to schab w detalu bez dotacji powinien kosztować około 6000 zł. Wizja srynkę kupowanej w plasterkach powoli zaczyna się urzeczywistniać i to bynajmniej nie z powodu drugiego śniadania.

Zakłady Mięsne pustką stoją. Szczęśliwa produkcja nie napawa optymizmem. Ceny rosną, skup maleje, a świnię w woj. lubelskim przetrzymują swe szeregi o 30 procent w stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego. Gdybyśmy jeszcze cofnęli się do końca lat 70, to okazałoby się, że pogłowcie zmalało o 30 procent i na koniec drugiego kwartału br. wynosiło niepełna 420 tys. sztuk. Żeby zaspokoić (nie nasycić) potrzeby lubelskiego rynku, Zakłady Mięsne powinny rocznie skupować 600 tys. świń. Obecna liczba nie przekracza 300—350 tys. W czerwcu z planowanych 33 000 zdolano skupić zaledwie 30 procent. Jeżeli nie się nie zmieni, a zmieni może się niewiele, to tegoroczne 300 tys. świń diabli wezmą.

WROĆMY DO OBORY

Sposoby tuczania mają się wprost proporcjonalnie do opłacalności chowu. Im pasza mniej wydajna, tym cykl produkcyjny dłuższy, a koszty

tenże większe. Przy żywieniu odpadowym, udoskonalonym chłopską pomysłowością, koszty te mogą obniżyć się o przynajmniej 50 procent. To prawda — powiedzą chłopcy — tylko skąd wziąć te odpady? Nie wszyscy mają dostęp do serwatki, czy odpadków z zakładów owocowo-warzywnych, a tradycyjny tucznik ziemniaków i zboża jest mało wydajny i czasochłonny. Proszę karmione bez koncentratów białkowych może i przez 9 miesięcy dochodzić do wagi 120 kg.

Takie sposoby żywienia świń można stosować tylko w małych gospodarstwach rolnych, nie nastawionych na dużą produkcję (brak ciągłości dostaw odpadów). Z obliczeń wynika, że jest ona opłacalna (jeżeli w ogóle można mówić o opłacalności), dopiero wtedy, gdy chłop sprzedaje przynajmniej 20 tuczników rocznie. Tymczasem średnia krajowa nie przekracza 5 sztuk. Potrzebne są nam wysokotowarowe gospodarstwa indywidualne, specjalizujące się w chowie świń, o czym, jak na razie, możemy tylko pomarzyć. Brak środków do produkcji (pokupują czterdziestoletnie ciagoty do wielkoprzemysłowej Polski) i skąpa baza zootechniczna powodują, że co piąte prosię w Polsce pada. Oznacza to, iż jesteśmy każdego roku pozabawieni 20 proc. przyszłych tuczników!

Przykłady lekceważenia i bezmyślności władz można mnożyć w nieskończoność. Chociażby sposób przydziału ciagle reklamowanych ciagników. Najpierw dostają spółdzielnie i PGR, później chłopcy, w sytuacji, kiedy ponad 70 proc. pogłowia świń skoncentrowane jest w sektorze prywatnym.

Swinia nie powstanie z niebytu, o czym nie chcą wiedzieć rządowi specjaliści od rolnictwa, które — jak pisał Józef Kuśmierk w jednym z numerów „Res Publiki” — „wykorzystując zaledwie 6 proc. energii, korzystając zaledwie z 4 proc. produkcji przemysłowej [...] daje 30 proc. wartości eksportu w dolarach i jest to jedyna dziedzi- na eksportu wykazująca dynamikę. [...] 20 proc.

den pośrednik nie złupi skóry. Planujemy wstępnie (przez 2—3 lata), roczny przerób około 6000 świń z produkcją docelową 10—12 tys. sztuk.

— Dlaczego zatem jest tak źle, skoro mogłoby być nie najgorzej? — pytam.

— Proszę pana, w tym kraju powinny funkcjonować tysiące małych rzeźni i masarni, a nie giganty w stylu Huty „Lenina”. Przecież Kombinat Rolno - Spożywczy „Igloopol” to nic innego jak kolos na glinianych nogach. Czy stać nas na takie molochoy? Nasza produkcja będzie prawdopodobnie kilkadziesiąt razy mniejsza niż dużych zakładów mięsnych. Ale gdyby w naszym regionie funkcjonowały dziesiątki takich spółdzielni (prawdziwych spółdzielni) czy zakładów prywatnych bilans mięsny wypadłby znacznie lepiej. Ustalyby też wędrowniki świń od Annasza do Kafjasza. Tak zróżnicowany rynek mięsny pozwoliłby wprowadzić zdrową konkurencję, uwalniając nas od państwowego monopolisty, który w tej chwili skupia trzy czwarte (jeśli nie więcej) przemysłu mięsnego.

— Ale przecież duże zakłady państwowe mogłyby robić to co pańska spółdzielnia i...

— „i mielibyśmy kolejny „Igloopol” — podsumował prezes.

WRÓCMY DO LUBLINA

Rodzinę Cioczków (pisałem o nich w reportażu „Hak na masarza” „Relacje” nr 28) zastałem przy poobiedniej herbacie. Zakład jeszcze stoi ale już wszystkie urządzenia przygotowane są do wrześniego rozruchu.

— Sytuacja zmieniła się nieco, odkąd rozmawialiśmy po raz ostatni — rozpoczynam rozmowę.

— To prawda — mówi Zbigniew Cioczek. — Dostałem już klucze do sklepu, o który było tyle awantury. Teraz, kiedy prezydent oddał kolejnych 10 sklepów w agencję z możliwością ich wykupie- nia sytuacja wchodzi zupełnie inaczej. Ludzie

karkówka — 6000 zł. To dobrze, że możemy wybrać i pogrymasić? Tylko czy chłopcy, zamiast produkować żywność, muszą zajmować się handlem?

KU POKRZEPIENIU SERC

Pierwsze jaskółki (raczej śwynie) wiosny nie czynią. Zanim sklepowe lady ugną się pod ciężarem wieprzowiny (wygląda na to, że nieprędko), proponuję spacer po wydziałach Zakładów Mięsnych.

Uboj świń nie należy do najprzyjemniejszych widoków. Ryk zabijanego zwierzęcia świdruje w uszach jeszcze długo po opuszczeniu rzeźni. Po wstępnej obróbce rozcinają się świnię na półtusze, po czym następuje dalszy podział. Nie chciałbym zanudzić Czytelników drobiazgowym opisem rozbioru tuczniaka na czynniki pierwsze, toteż ograniczę się jedynie do smakowitych wątków. Bekonów nieestety, nie widziałem, jako że ich produkcję zaprzestano z końcem lat 70. Natomiast miałem możliwość skonfrontowania obiegowej opinii z rzeczywistością o tzw. paluszkach, uznawanych przez większość klientów za wyrób podlegszego gatunku.

— Wszyscy myślą, że jak tańsze, to gorsze — mówiła kierowniczka Działu Norm i Technologii, Teodora Polak, oprowadzając mnie po zakładzie. — Proszę mi wierzyć, receptura parówek prawie nie odbiega pod względem jakości i ilości mięsa od np. podlaskiej. Na 100 kg surowca dajemy 20 kg mięsa wieprzowego II klasy, 10 kg tegoż mięsa w klasie III, 30 kg podgardla skórowanego i 40 kg mięsa wołowego klasy II, pieprz, gałka muszkatołowa do smaku. W czasie produkcji dodaje się wodę, aby uwodnić i rozmiękczyć tkankę mięsna. Rozdrobnione na specjalnych siatkach i wyrobione mięso jest mechanicznie tłoczone do szlucznich osłonek, po czym następuje wędzenie.

Faktycznie. Próbowałem „paluszki” tuż po wyjęciu z wędzarki. Nie jest to wprawdzie szynka, ale ten smak, ten zapach... słowem „niebo w ge- bie”. Z zalem opuszczałem Zakłady Mięsne i gdyby nie obawa przed strażnikami kontrolującymi wszystkich wychodzących, jak nie przeschmygłobyłbym pętko parówek.

Oczywiście „paluszków” domowym sposobem nie zrobimy ale mając surowe mięso wieprzowe, możemy przyrządzić niejedną przysmak.

Odwiedziłem w tym celu szefa kuchni w hotelu „Unia”, Lucjana Kłaczynskiego. Jak przystało na prawdziwego kucharza, pan Lucjan jest wyglądu słusznego z dobrze zatrysonanym pod koszulą brzuchem.

— Proszę pana, po co denerwować ludzi — wobrał się szef. — W sklepach pusto, a panu frykasów się zachciało... No, ale jeżeli pan się uparł — proszę bardzo. Na początek proponuję zrazy po węgiersku. Bierzymy płat schabu, robujemy z wędzonym boczkim, dusimy i podajemy z kłuskami półfrancuskimi, polanymi sosem węgierskim. Wspomniany jest również kotlet leśny nadziewany fasaniem z pieczark, do którego w trakcie duszenia dodajemy jalowiec. Polecałbym też faworki i szynkę w sosie śliwkowym, a moją specjalnością jest prosię pieczone w całości, nadziewane kaszą gryczaną i podrobami, które...

Przy prosięciu nie wytrzymałem. Przełknąłem śli- acę i wyszedłem.

— Proszę pana — „goni” mnie jeszcze na kory- tarzu głos pana Lucjana — przygotowanie i piecze- nie prosięcia mam nagrane na wideo. Niech pan kiedyś wpadnie to pokazać. — Dziękuję — pomyślałem sobie — moje gruczoły ślinowe nie wytrzymałyby takich emocji.

ZAMIAST POINTY

Powszechnie uważa się świnię za głupie i bez- rozumne zwierzę. (W koleżkach po wieprzowinę wyzywamy się, jakby na własne ugarowisko, od świń, macior, warchlaków, świńskich ryjów i Bóg wie jak jeszcze). Mniemanie to jest tyłem niez- drowe, co bezasadne. Świnia — jak twierdzi wy- znamiany przez mnie na początku prof. Sardacki — jest najinteligentniejszym zwierzęciem z gospo- darskiego przychowka. Łatwo daje się trenować, a co najważniejsze, sprawnie jej to przychodzi. Już Ludwik XI trzymał balet ubranych świń, które tańczyły przy dźwiękach kobry. Ze względu na doskonały wch w tródnolowicznej Anglii wyko- rzystywane je do polowań, a we Francji znako- mienie są sobie z wynalazaniem trufli. Znane są też jej zdolności w wykrywaniu narkotyków przemycanych na statek. I wręcz nie rzecz naj- ważniejsza. Świnia ze wszystkich zwierząt na Zi- emi jest najbardziej zbliżona do człowieka pod względem anatomicznym. Mistrz pędzi, ale i skal- peli, Leonardo da Vinci, studiował anatomię cze- łowieka... właśnie na świni, a polodolowoztrykański kardiokirurg Christian Barnard prowadził na niej doświadczenia z przeszczepem serca, zanim dokonał tej operacji na człowieku w 1967 roku...

Świnia, gdyby dane było jej mówić, rzekłaby zapewne: Ty człowieku!

Zbigniew Dzieciółek

ŚWINIO!

ludzi zatrudnionych w rolnictwie gwarantuje 80 proc. równowagi rynkowej, jako że tyle klasa robotnicza przeznaczana na zakup produktów rolno- spożywczych”. Stworzone zaś obecnie warunki są zaledwie preludium do rzeczywistych zmian w polskim rolnictwie i w polskiej gospodarce. Półki co „urynkowienie” wygląda tak, że za, z sufitu wzięte, ceny maszyn i nawozów będą płacić nie chłop, lecz przeciętny rzadacz pastuszkowski w mie- ście. A świń jak nie było, tak nie ma.

OD PROŚIECIA DO LADY

Podczas wędrowki świńskim traktem „zahaczy- lem” o jedną ze spółdzielni produkcyjnych w re- gionie lubelskim. Jako że nie jestem zwolenni- kiem innej własności jak prywatna, z mieszczymi uczuciami przystąpiłem do oględzin. Rozczarowa- nie (miałe) było wprost proporcjonalne do obaw.

— Spółdzielnia musi na świńskich zarobić — stwierdził dobitnie prezes. — Jeżeli nie zarobi, to albo ja powiniennem uprawiać przydomową dzia- łkę, albo ktoś „na górę” powinien wyjechać na placówkę dyplomatyczną. Innej możliwości nie ma. Uczone dyskusje w stylu „świnia a sprawa polska” możemy sobie darować. Powiem krótko. Musimy dążyć do tego, aby w ciągłej sprzedaży było w sklepach mięso, i to tanie mięso, nie zapominając jednak o godziwym zarobku dla pro- ducentów. Droga prosięcia z obory na sklepową ladę będzie tym tańsza, im mniej pośredników bę- dzie w niej uczestniczyć. Najlepiej zatem byłoby samemu robić wszystko od początku do końca. W naszym przypadku jest to niemożliwe. Jak wiadomo, jądro świńskiego kota stanowi hodowla i chów. Możliwość spółdzielni ograniczają się do hodowli macior. Postanowiliśmy wejść w kopro- dukcję z chłopami i dostarczać im łochy jako ma- teriał rozplodowy, zapewniając również „usługi” dobrej rasy knura. Zatem początek został zrobio- ny. Są łochy — będą prosięta.

To jednak nie wszystko — kontynuuje prezes. — Jak pan wie, produkcja tuczników staje się opłacalna, kiedy cena paszy skalkulowana jest najtańszej (pomijam tu środki do produkcji rolnej, na wytwarzanie których niestety, nie mam wpły- wu). Mamy własne sioły zbożowe i własną mieszalnię pasz. Niewielką część zboża produkujemy sami, resztę skupujemy od rolników. Zboże (w tym przypadku jęczmień) przemieszane na paszę dostarczamy chłopom własnym transportem, zabez- pieczając dostawy w ciągu całego cyklu produk- cyjnego tuczników. My otrzymujemy od rolników świnię ubojową, odbierając je bezpośrednio z chłopskich gospodarstw. Część tej wymiany han- dlowej można przeprowadzać w sposób bezgotów- kowy (świnie za paszę), wypłacając chłopom jed-ynie czysty zysk. Obustronne korzyści widoczne są bez kalkulatora.

Tu kończy się współpraca, a zaczyna nasza samodzielna działalność produkcyjna. W najbliż- szym czasie chcemy uruchomić własną ubojnię i masarnię (pomieszczenia już mamy). Czynimy też starania o przydział lokalu na sklep, z czym, mam nadzieję, w obecnych warunkach nie powinniśmy mieć kłopotów. W ten sposób sami będziemy kon- trolować drogą prosięcia od obory do sklepowej lady. Zysk dla chłopca, dla nas, a i z klienta za-

muszą zrozumieć, że nie ma innego wyjścia ze „schabowego dołka”. Zaraz po wojnie funkcjono- wało w Lublinie kilkanaście zakładów masar- skich, z których przetrwało raptem kilka, pokon- mując w międzyczasie biegi z przeszkodami.

Cioczkowie są zadowoleni. Nowa rzeczywistość (bezpośrednie zakupy tuczników u chłopów) stwa- rza możliwości zwiększonej produkcji, a nam może wreszcie przestać się śnić nagie haki. Moje? Rzecz cała „rozbija” się o ubojnię (produkcję urządzeń dla małych masarni pokrywamy milcząc- niem) których nie mają masarze. Wprawdzie dy- rektor Wróblewski zapewniał, że będą prowadzić ubój usługowy, ale w sytuacji „wolnej amerykanki” nie byłbym tego taki pewien. Jeżeli GS odmówią skupu świń dla lubelskiego monopolisty — a już to robią — i zaczną działać na własny rachunek, placąc chłopom większe stawki Zakłady Mięsne mogą odmówić uboju. Bronią się przed spadkiem dostaw, będą m. in. w ten sposób zmuszać rolni- ków do aliansu z konieczności. Miejmy jednak nadzieję, że rozważania te pozostaną w sferze hi- potetycznych domysłów. A moje władze miasta, wasmem przedwziętych doświadczeń pobudując rzeźnię komunalną?

— Planuję uruchomienie własnej ubojni — do- daje Zbigniew Cioczek — ale jest to niemała in- westycja. Plac mam, budynek też. Ostrożnie licząc, może za rok będę mógł ruszyć. Póki co muszę „umiechać się” do Zakładów Mięsnych.

— Sytuacja, jak widać, rozwija się dosyć po- myślnie, tylko te ceny z prywatnych masarni przyprowadzają czasami o zawrót głowy. Baleron — 11 800 zł, połędwica prawie 13 000 zł...

— Proszę pana — replikują Cioczkowie — je- żeli ograniczyć się do samego porównania cen państwowych i prywatnych, to rzeczywiście u nas jest drogo. Tylko, że my musimy sami za wszyst- ko zapłacić. Nikt nam nie dokłada nawet złotów- ki do kilograma wyrobów. Jeżeli Zakłady Mięsne przestaną być dotowane i chłopcy nie będą mu- śieli odsiawiać żywoza za środki do produkcji rol- nej, to wtedy te relacje z pewnością ulegną zmia- nie. W tej chwili trwa huśtawka cen, która musi w pewnym momencie stanąć i nigdzie nie jest napisane, że nasze podroby i wędliny będą dro- że.

Tyle Cioczkowie. A jak wyglądał lubelski rynek na początku sierpnia? W sklepach państwowych pusto. Śladowe ilości mięsa i wędlin zniknęły jak kamfora. Tłok, krzyk i zgrzytanie zębów. Jedynie w trzech punktach sprzedaży mięsa z uboju go- spodarskiego nie było nocnych dyżurów. Klasa, spokój, nikt nikomu nie wyrwał z rąk resztek szynki czy schabu. Drogo? To prawda. „Ceny spuszczone ze smyczy” na razie szaleją, ale już teraz można było dostrzec ich zróżnicowanie. Na targowisku nr 5, przy ul. Gospodarskiej, schab ko- ształwał 6000 zł, szynka — 5000 zł, łopaska — 4500 zł, karkówka — 4000 zł, żeberka — 2600 zł. W punkcie przy ul. Kowalskiej (tego samego dnia) było znacznie drożej. Schab — 7000 zł, szynka — 6600 zł, łopaska — 5000 zł, żeberka — 4000 zł,

Dokończenie ze str. 3

opatrując to podpisami i datą 28 września 1939 r. (drugi układ Ribbentrop — Mołotow).

TYM CZASEM 10 i 21 września trwały w kręgu Himmlera narady sztabowe, mające na celu określenie zadań służb policyjnych Rzeszy wobec zdobyczy wojennej w Polsce i „linii demarkacyjnej”, którą trzeba było ustanowić. Przypomnieć tu należy, że armiom Wehrmachtu walczącym w Polsce przydzielono grupy operacyjne policji i służby bezpieczeństwa (Einsatzgruppe der Sipo u. SD), których zadaniem było polityczne i policyjne spacyfikowanie zajętych obszarów.

Najlepszym przykładem wykonania tych zadań jest działalność Einsatzgruppe I SS-Gruppenführera B. Streckenbacha w strefie operacji 14 Armii nad Sanem pomiędzy 20 a 28 września 1939 r. Dwa oddziały tej grupy (Einsatzkommandos I/1 i I/3) obsadziły linię Sanu, tworząc placówki w Zaslawiu, Sanoku, Dubiecku, Dynowie, Przemyślu, Radymnie i Jarosławiu.

Kolejne zadania wypracował sztab Himmlera 26 i 27 września. Wtedy też dobiegł końca proces konsolidacji służb policyjnych w Niemczech, bowiem utworzono Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt — RSHA), podległy Reichsführerowi SS, czyli Himmlerowi, jednocześnie ministrowi spraw wewnętrznych Rzeszy. Wtedy też Himmler „nabył” nowe uprawnienia „Siedlungskommissar für dem Osten”, czyli komisarza Rzeszy do spraw umocnienia niemieczyny na Wschodzie, uprawnień, których częścią stało się przesiedlenie Żydów z pobliza „linii demarkacyjnej”, co natychmiast zostało sprecyzowane w dokumentach wspomnianych narad i z miejsca zrealizowane.

Wcześniej, bo już 19 września, na trzeci dzień od zajęcia Przemyśla, rozstrzelano 103 osoby spośród żydowskiej inteligencji miasta. W Sanoku akcją wysiedlenia 150 rodzin żydowskich przeprowadzono 27 września właściwie w spokoju, bez krwawych ofiar, ale w Dynowie i Dubiecku towarzyszyły temu mordy i pożary. Wypędzono część Żydów z Sienawy, Jarosławia, Leżajska, Rudnika nad Sanem, Radomyśla nad Sanem oraz z miast położonych dalej od rzeki — „granicy”, jak Łańcut, Mielec, Przeworsk i Tarnobrzeg. Tych ostatnich przepędzono kilkadziesiąt kilometrów i wpław, nawet pod ostrzałem w plecy, gnało za San. Nie do ustalenia jest liczba ofiar tych wydarzeń. Większość tych akcji miała miejsce przed drugim układem Ribbentrop — Mołotow.

Interesujące dane o „linii demarkacyjnej” zawierają rozkazy dzienne szefa zarządu cywilnego 14 Armii, dr Dilla, który np. w Stabsbefehl nr 12 z 24 września w pkt. VI podaje do wiadomości, że do dyspozycji Landrata w Jarosławiu przydzielony został pluton Schutzpolizei w celu obstawienia Sanu, ponieważ ma tu być wyznaczona „linia demarkacyjna”.

Warto dodać, że z działalności dr. Dilla i podległych mu Landratur zachowały się liczne źródła we wszystkich archiwach w południowej Polsce od Krasowa po Przemyśl. Dokumenty te, jak i źródła niemieckie, poświadczają, że zanim Ribbentrop pojechał drugi raz do Moskwy 27 września 1939 r., by podpisać pakt o przyjaźni i granicy („dem deutsch-sowjetischen Grenz und Freundschaftsvertrag”), na podstawie którego ustalono „linię demarkacyjną” — granicę pomiędzy Rzeszą a ZSRR — „strefy interesów” zostały podzielone w pierwszym układzie.

DRUGA wizyta Ribbentropa w Moskwie wypadła już w zgoła innych okolicznościach — dobiegał kresu podbój Polski. Obydwie sojusznicze strony wysunęły nowe propozycje, które należało uzgodnić. Stalin — w zamian za ustąpienie z obszarów na prawym brzegu środkowej Wisły po Bug — domagał się uznania radzieckich interesów na Litwie (za wyjątkiem pogranicza z Prusami Wschodnimi nad Niemnem w związku z zajęciem przez Niemców Kłajpedy w marcu 1939 roku). Ribbentrop usiłował „złatwić” zgodę na przesunięcie „linii demarkacyjnej” znaną Sanu na wschód o blisko 100 km, by zatrzymać zajęte już Wschodnie Zagłębie Naftowe. Tego Stalin nie ustąpił, ale uzgodniono dostawę 300 tys. ton ropy naftowej w ciągu trzech lat dla Niemiec i ustalono bieg Sanu na długości 357,4 km od źródła u Przełęcz Uzdkiej jako „linię demarkacyjną” — granicę. Nakreślone to zostało na wspomnianej mapie (w skali 1:100 000).

29 września o 5.00 podpisano:

1. Układ radziecko-niemiecki o przyjaźni i granicy;
2. Trzy tajne protokoły dodatkowe:
 - a) o zmianie „sfer interesów” i nowym ich rozgraniczeniu,
 - b) o zobowiązaniu obu stron zwalczania „polskiej agitacji” na swoim terenie i informowania się o przedsięwzięciach w tym zakresie,
 - c) o migracji ludności pomiędzy „sferami interesów”.
3. Deklarację przyjaźni.

Dokumenty te obydwie strony sygnowały datą 28 września 1939 r., za wyjątkiem tajnych protokołów dodatkowych, które zresztą tajne nie pozostały, bo kwestie w nich uzgodnione wymagały wytworzenia szeregu dokumentów o charakterze praktycznym (technicznym), których twórcy powoływali się na „źródło”, czyli tajne protokoły, pośrednio informując o ich istnieniu.



Spotkanie oficerów radzieckich i niemieckich w Białymstoku (1939 r.).

Reprod. Waldemar Stępień

GRANICA NA OŚMIU RZEKACH

W kwestii rozgraniczenia jest najwięcej materiału źródłowego pochodzenia niemieckiego bądź polskiego. Nie są natomiast znane analogiczne dokumenty radzieckie, ale wolno uznać, że skoro były to umowy dwustronne, to ich rosyjska wersja językowa winna być identyczna.

We wszystkich dokumentach dotyczących podziałów terytorialnych występuje znamienne określenie. Strona niemiecka posługuje się określeniami „Grenzlinie” lub „Interessengrenze” (linia graniczna, granica interesów), w przeciwieństwie do strony radzieckiej, która „linię demarkacyjną” (obojętne, o jakim przebiegu w terenie) zdaje się przyjmować jako granicę państwową („der Staatsgrenze der Union der Sozialistischen Sowjetrepubliken”). Różnica ta została zlikwidowana specjalną umową niemiecko-radziecką, podpisaną w Berlinie 17 sierpnia 1940 r. o ujednoczeniu nazwy i przyjęciu określenia „granica państwowa” oraz o statusie prawnym tej granicy.

W ŚLAD za układem o przyjaźni i granicy oraz AJNY protokół” do układu Ribbentrop — Mołotow podjęły pracę wspólne radziecko-niemieckie komisje delimitacyjne, wykonujące także pomiary topograficzne granicy w terenie z zadaniem wypracowania dokumentów o charakterze technicznym i przygotowania podstawy do dalszych uzgodnień.

Już 4 października 1939 r. Wiczesław M. Mołotow i Friedrich Werner von der Schulenburg (ambasador Rzeszy w Moskwie) podpisali układ w sprawie przebiegu granicy, który był „słownym”, traktatowym dokumentem do słynnej mapy rozgraniczenia, podpisaną przez Stalina i Ribbentropa jako załącznik do drugiego układu.

22 października 1939 r. podpisano o oznaczeniu granicy i o wymierzaniu granicy na mapach i w terenie. Do tych porozumień szczegółowych dołączono protokoły techniczne, z których pierwszy zawierał opis podziału granicy na 6 odcinków z wyszczególnieniem granicy „mokrej”, biegnącej nurtem rzek: Czarna Hańcza, Wolkuszanka, Pissa, Narew, Orz, Bug, Sołokija i San, łącznie o długości 1145 km oraz granicy „suchej” (lądowej) o długości 244 km.

Cała ta linia graniczna radziecko-niemiecka biegła od wschodniego skraj Prus Wschodnich na wysokości rzeki Czarna Hańcza do Przełęcz Uzdkiej — w sumie 1389 km. Jeśli przypomni się, że granica polsko-radziecka, ustalona traktatem w Rydze w marcu 1921 r., wynosiła 1412 km, to zajmując wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, Związek Radziecki skracał pogranicze z Niemcami o 123 km, ale instalując swoje „interesy” i bazy wojskowe na Litwie, powiększał bezpośrednio pogranicze z Niemcami o ponad 300 km, licząc od biegu Czarnej Hańczy do Nimmersatt, najdalej na północ wysuniętej miejscowości nad Bałtykiem w prowincji Memelgebiet — obszarze Kłajpedy wydartego Litwie w marcu 1939 r.

W tym świetle nie ostoi się teza, że układ Ribbentrop — Mołotow, podpisany 23 sierpnia 1939 r., miał na celu odsunięcie groźby inwazji niemieckiej przeciwko ZSRR. Ten układ znakomicie poprawiał sytuację strategiczną Niemiec w przyszłym uderzeniu na ZSRR.

Protokół nr 1 do umowy z 28 X 1939 r. zawierał jeszcze dane dotyczące lokalizacji słupów granicznych i ich numeracji według odcinków granicy.

Protokół nr 2 zawierał topograficzny pomiar tej granicy według usytuowanych słupów granicznych i ich numeracji. Protokół nr 3 wyszczególniał wszystkie wyspy. Było ich 302, w tym jedna (na Sanie) pojawiająca się okresowo w zależności od poziomu wody. Ponieważ granicę poprowadzono nurtem, opisano w tym protokole „własność” wysp dla każdej ze stron. Kolejny protokół (nr 4) inwentaryzował wszystkie mosty, podając ich opis techniczny oraz podział z dokładnością do 2 (dwóch) centymetrów dla każdej ze stron. Natomiast protokół nr 5 dotyczył odcinka II i III biegnącego wzdłuż Narwi i Bugu (572 km), gdzie słupy graniczne nie zostały ustawione naprzeciw siebie. Całe rozgraniczenie zostało oznaczone na mapach w skali 1:25 000 (na 54 arkuszach) oraz w skali 1:500 (na 23 arkuszach, w tym również wykreślono 22) i były to właściwie plany.

Ostatnim porozumieniem w kwestiach tak ustalonej granicy niemiecko-radzieckiej był układ o stosunkach prawnych przy granicy, podpisany w Berlinie 31 sierpnia 1940 r., gdzie powołano w preambule wszystkie uprzednio wymienione porozumienia — układy, począwszy od 28 września 1939 r. Uzgodniono powołanie pełnomocników obydwu stron (było ich ogółem 15) dla odcinków granicy, ustalono zasady łączności między nimi, zasady ruchu granicznego, funkcjonowania służb celnych, zasad gospodarki leśnej i wodnej w pasie granicy, wreszcie współpracę służb policyjnych w jej strzeżeniu...

Wszystkie te dokumenty są zachowane w zespołach akt rządów Generalnego Gubernatorstwa w kilku archiwach Warszawy i Krakowa. Są w Polsce.

TAK powstała granica przyjaźni niemiecko-radzieckiej pośrodku etnicznych ziem polskich. Natychmiast obydwie strony zaczęły ją fortyfikować. Nie szukając zbyt odległych przykładów: w Lesku, na prawym brzegu Sanu, przyczółek mostu drogowego do wsi Huzle umocnił bunkier o kubaturze średniej wielkości domu jednorodzinnego, zaś na wzgórzach nad miastem „zawisło” kilka podobnych, choć mniejszych. Stąd począwszy, cała dolina Sanu aż po Sanok, na prawym brzegu, została umocniona systemem żelbetonowych bunkrów. Podobne można spotkać w rejonie dalszego biegu Sanu, np. od Sliwnicy, opodal Krasieczyna, przez obszar miejski Przemyśla, gdzie do dziś są żelbetonowe ślady podziału miasta w 1939 r.

Po stronie zaś niemieckiej, na obszarze od Dachnowa począwszy, skrajem Oleszyc, aż do biegu Lubatówki w stronę Sanu i od Dachnowa do biegu Sołokiji i w stronę Bugu, rozpoczęto potężne fortyfikacje ziemne — fragment słynnego „Ostwall” nad Bugiem, co organizował w latach 1940—1941 SS-Gruppenführer Odilo Globocnik, wyższy dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim.

Granica na ośmiu rzekach, wytyczona według wszelkich reguł i zasad delimitacji topograficznej, umocniona zobowiązaniami obydwu stron, które uznały ją „jako ostateczną i że odeprą wszelką ingerencję mocarstw trzecich w tej sprawie”, jak stwierdza art. 2 układu z 28 września 1939 r., nie przetrwała zbyt długo, 22 czerwca 1941 r. z tej granicy ruszyła kolejna ofensywa II wojny światowej. Zdeklarowana przyjaźń, nawet umocniona bunkrami, które przetrwały pół wieku, nie wytrzymała „próby czasu”, a raczej chwili nowych podbojów.

Mieczysław Wieliczko

TV

CZWARTEK 31 SIERPNI PROGRAM I

8.50 Domator: Marynaty
9.00 Kino Teleferii: „Złote pantofelki”, cz. 2 — film fab. prod. ZSRR
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Policjanci z Miami” — „Bagna” — serial krym. prod. USA
10.45 Program dnia
10.50 Totentanz in Polen — widowisko artystyczne
17.15 Teleexpress
17.30 „Daleki dystans” — film prod. TVP
18.25 „Stary Sandomierz” — film dok. Mariana Kubery
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.00 Apeli poległych i uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza
21.00 Kroniki PAT: Tak było...
21.15 „Policjanci z Miami” — „Bagna” — serial krym. prod. USA
22.00 Pegaz
22.50 Studio sport: Mistrzostwa Świata w pięcioboju męczym — Budapeszt '89 (pływanie i strzelanie)
23.10 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Wierność” — film dok. Grzegorza Królikiewicza
19.00 Leonard Bernstein w Warszawie
20.00 Studio sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Spotkanie z Ewą Pape
22.00 „Ucieczka z Sobiboru” cz. 2 — film fab. prod. ang.
23.15 Komentarz dnia

PIĄTEK

1 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.45 Domator
9.30 Dt — wiadomości
9.40 Dt — dodatek gospodarczy
10.00 „Zobierz Westerplatte” — film dokumentalno-fabularny Edwarda Wojtary
11.00 Manifestacja patriotyczna na Westerplatte
16.20 Program dnia. Dt — wiadomości
16.25 Teleferie — finał
16.45 Kino Teleferii: „Arabella” — serial prod. CSRS
17.15 Teleexpress
17.30 „Czerw i biel” — film dok. Aleksandry Jarosz
18.05 Studio sport: Mistrzostwa Świata w pięcioboju męczym — Budapeszt '89 (bieg)
18.45 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.55 Dzień modlitwy o pokój
20.45 Dt
21.15 „1 września 1939 — Warszawa” — koncert poświęcony 50 rocznicy wybuchu II wojny światowej (transmisja z Teatru Wielkiego w Warszawie). Wyk.: Wielka Orkiestra PRITV w Katowicach, chór Filharmonii Na-

rodowej. Dyr. Leonard Bernstein, Krzysztof Penderecki. Soliści: Barbara Hendricks (śpiew), Herman Frey (śpiew), Marek Drewnowski (fortepian) oraz Liv Ullmann (recytacja)
23.45 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Gra złudzeń — wojсковy program dok.
19.30 Dookoła świata: Na „Zawiszy Czarnym” do Singapuru — reportaż
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 „A lato było piękne tego roku” — II wojna światowa w filmie polskim
22.50 Komentarz dnia

SOBOTA 2 WRZEŚNIA PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.40 Program publicystyczny
9.00 Kino Teleferii: „Przygody dobrodusznego smoka” — serial prod. węgier. oraz „Siedem życzeń” — odc. ostatni serialu TVP
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Od Wachowy do Belwederu — wojskowy program dok.
11.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Kareta króla Minoasa” — film dok. prod. belgijskiej
12.35 Wystawa zwierząt hodowlanych na Służewcu
13.15 Telewizyjny Teatr Prozy: Zofia Nałkowska — „O tożsamość twórcy”
14.10 Akademia filmowa — program studyjno-filmowy
14.35 Smak życia — program z udziałem: Eaty Tyszkiewicz, Ewy Kuczińskiej, Ireny Sławińskiej; architektów: Piotra Szarowskiego i Janusza Kaczorka oraz społecznika Janusza Marszałka
15.20 Komedia, komedia, komedia: „Pan Anatol szuka miliona” — prod. pol.
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Premie i premiery: Nasi goście, nasze przeboje
17.15 Teleexpress
17.30 Portrety: „Jak orły zwycięskie” — film dok. o gen. Stanisławie Sosabowskim
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygód kilka wórla Cwirka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Osioł
19.30 Dt
20.05 Akademia filmowa: „Lawrence z Arabii” — film fab. prod. ang. Reż. David Lean, Wyk.: Peter O'Toole, Alec Guinness, Anthony Quinn, Omar Sharif
21.30 Tydzień w polityce — komentarze Karol Szyndziarz
22.30 Teatr TV: Jarosław Hasek — „Spotkanie ze Szwejkem” (7)
23.50 Telewizyjny przegląd sportowy
0.10 Telegazeta
0.15 Kino sensacji: „Inspektor Taggart” — cz. I pt. „Wampir z Glasgow” — film prod. ang.
1.05 Jutro w programie

PROGRAM II

14.00 W świecie ciży — program dla niesłyszących
14.25 Telewizyjny koncert życzeń
14.35 Powitanie

15.00 Zwierzęta świata: „Zwierzęta rybolowne” — film dok. prod. USA
15.25 Spektrum — nowości nauki i techniki
15.40 „Ordy”: „A. G. Bell” — film animowany prod. japoń.
16.05 Meandry architektury: Ruiny
16.25 „Trzy ołtarze” — film dok.
17.00 Legendy filmu: Gregory Peck
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Alfa i omega
20.00 Spotkanie z Andrzejem Kurylewiczem i Wandą Warską
21.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
22.35 Dziewięciu gniewnych ludzi — publicystyka kulturalna
23.20 „Chateaubillon” (17) — serial fab. prod. franc.
0.15—0.20 Komentarz dnia

NIEDZIELA 3 WRZEŚNIA PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Tajemnica starego zamku” — film fab. prod. austral.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Ludy Ziemi” — odc. 7 pt. „Wenezuelczyki” — serial dok. prod. hiszp.
11.35 Kraj za miastem: Wystawa zwierząt hodowlanych na Służewcu
12.15 Telewizyjny koncert życzeń
13.00 Marek Sierocki zaprasza
13.30 Teatr dla dzieci: Alan Alexander Milne: „Dawno, dawno temu” — cz. I pt. „Złamany wąs”
14.35 Powiększenie — fotomagazyn
14.55 Pieprz i wanilia: Nieznany kraj — niespodzianki z przyrodą
15.40 „Panna dziedziczka” (15) — serial fab. prod. brazył.
17.15 Teleexpress
17.30 Tupecik, czyli nasze męstwo — widowisko rozrywkowe zrealizowane podczas Warsztatów Artystycznych Młodzieży w Rudnie
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Trzy misie
19.30 Dt
20.05 „Klan” (1) — serial krym. prod. franc.
21.00 Siedem dni: Świat
21.30 Sportowa niedziela
22.10 Kinomania: Barbara Kwiatkowska-Lass
22.40 Premiery po latach: „Między życiem a teorią”
23.15 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.20 Telegazeta
23.25 Jutro w programie

PROGRAM II

10.15 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
10.30 „Klan” (1) — serial krym. prod. franc. (dla niesłyszących)
11.45 „Spójrzcie na Wrzesień” — film dok. Macieja Siefalskiego
12.00 Lokalny koncert życzeń
12.25 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.55 Powitanie
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 100 pytań do...
14.50 Aktualności kulturalne: „West Side Story” — reportaż
15.05 „Polacy” — film dok.
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina

16.10 Kalejdoskop filmowy Kino-Oko
16.45 Studio sport: Tenis ziemny
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 XXIV Międzynarodowy Festiwal Oratoryjno-Kantatowy „Wratiskavia Cantans”: Wiener Akademie
20.00 Studio sport: Piłka w grze
20.45 Wrzesień 1939 — wiersze i pieśni z pierwszych miesięcy wojny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (1) — serial fab. prod. USA. Reż. Dan Curtis. Wyk.: Jane Seymour, Hart Bochner, John Gielgud i inni
23.10—23.15 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK

4 WRZEŚNIA

PROGRAM I

16.20 Program dnia. Dt — wiadomości
16.25 Dla młodych widzów: Wakacyjne wspomnienia
16.45 „Banda Rudego Pająka” (1) — „Pechowy mecz” — serial TVP
17.15 Teleexpress
17.30 Pożegnanie wakacji: X Dziecięcy Festiwal Piosenki i Tańca w Koninie
18.30 Laboratorium
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Adolf Nowaczyński „Cyganeria warszawska”. Reż. Krzysztof Rościszewski. Wyk.: Andrzej Jurczak, Mariusz Wojciechowski, Ewa Telega, Bronisław Wrocławski, Bogusław Sochnacki, Jolanta Bafak, Joanna Jankowska i inni
22.15 Kroniki PAT: Tak było...
23.30 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna-polszczyzna: 100 jubileuszowe wydanie
18.00 Program lokalny
18.30 Czarne na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.00 Jerzy Jarosik i jego goście
19.30 Dni Korei — reportaż
20.00 Teletrans
20.30 Osadźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Gombrowicz, albo uwiedzenie” — film dok. prod. ang.
23.30 Wratiskavia Cantans '89 — relacje, komentarze, opinie
23.45 Komentarz dnia

WTOREK

5 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Rady na życie; 10 minut dla urody
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Gdańsk '89” (4 — ostatni) — „Godzina ypsilon” — serial TVP
10.25 Rady na życie
10.45 Program dnia. Dt — wiadomości
15.50 Wspólna Polska, wspólne sprawy
16.10 Dla młodych widzów: Wakacyjne wspomnienia
16.20 „Banda Rudego Pająka” (2) — „Urwany ślad” — serial prod. TVP
17.00 Studio sport: Mecz piłki nożnej (Polska — Grecja)

ok. 17.45 Teleexpress (w przerwie meczu)
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Wesole przygody Pika, Kwika i Wiloryba Grubaska
19.10 Od A do Z: S jak spółka
19.30 Dt
20.05 „Gdańsk '89” (4 — ostatni) — „Godzina ypsilon” — serial TVP
21.05 Kroniki PAT: Tak było...
21.20 Program publicystyczny
21.50 Program rozrywkowy
22.20 Studio Solidarność
23.05 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Polskie ogrody zoologiczne: ZOO w Oliwie
18.00 Program lokalny
18.30 Komedia po polsku: Co za radość żyć
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Za chwilę dalszy ciąg programu — program Wojciecha Manna i Krzysztofa Materny
21.00 „W kręgu sztuki” — „Dzieciata fala” — film dok.
21.30 Panorama dnia
21.45 „W potrzasku” — film fab. prod. CSRS
23.15 Komentarz dnia

ŚRODA

6 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; 10 minut dla rodziny
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Gaski” — film fab. prod. CSRS
10.40 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.15 Program dnia. Dt — wiadomości
16.20 Losowanie Express i Super Lotka
16.25 Dla dzieci: Wakacyjne wspomnienia
16.45 „Banda Rudego Pająka” (3) — „Siedmiu ostatnich” — serial prod. TVP
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka
19.10 Program publicystyczny
19.30 Dt
20.00 Studio sport: Eliminacje Mistrzostw Świata w piłce nożnej Italia '90 (Szwecja — Anglia)
ok. 20.45 Kroniki PAT: Tak było... (w przerwie)
21.50 Raport
22.20 Old Jazz Meeting — Złota Tarka '89
22.55 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 A B C — teleturniej językowy
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Cnotliwa Mungaja, czyli wojna pomarańczowa” — reportaż z karnawału w Ivrei
18.55 O tym się mówi nie tylko w Moskwie
19.30 Brazylia — program dok.
20.00 „Akcja opief” — film fab. prod. franc.
21.00 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów Programu II
21.30 Panorama dnia
21.50 „W labiryncie” (36) — „Alibi” — serial TVP
22.15 Telewizja noca
22.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwńska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Kramowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczek (kierownik dz. u reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Władowska. Korespondentka: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-020 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-24 (sekretarz redakcji), 202-01 (dział publicystyki), 204-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-350 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 235-20.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-25-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzegając sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadanych materiałach.
Informacje o prenumeracie na kraj i zagranicę udziela oddział Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37469 Dt ISSN 0860-8930. Zam. 1313 31.08.1989 r. B-1

GOTT MIT UNS!

Henryk Pałąk

JAK to jest: narody nie chcą wojen, a wojny sobie są i są? Kto więc chce, a kto nie chce wojen? Kto je wywołuje? Politycy? Rządy? Terrorysty? Nacjonalści? Patrioty? Oni także, ale wojen pragną całe narody. Rzecz w tym, że wszystkie chcą wojen zwycięskich, natomiast każda wojna musi mieć zwycięzcę i pokonanego. Najgorsze są wojny zakończone uroczystym rozejmem, czyli porażką obydwu stron.

A więc wszyscy chcą wojen tylko wygranych. Gdyby Szwajcarzy mieli pewność, że pokonają Włochów czy Anglików, już od dawna Włochy byłyby kantonem, a Anglia zamorską kolonią Szwajcarii.

Gdyby pół wieku temu naród niemiecki mógł przeczuć, że przegra wojna światowa by nie wybuchła. To całe oceany fanatycznie wyrzuconych w górę rąk, to ogłuszające „Heil!” prowokowało, zmuszało Hitlera do eskalacji wojny.

Trudno się dziwić, że naród nadludzi chciał wojen i to wyłącznie zwycięskich. Ale czy taki naród jak polski, czyli zwyczajny, jeden z wielu, naród o duszy wieśniaka, może chciał wojen?

I tak i nie. Nie chce, bo wie, że przegra z każdym osiłkiem zza miedzy.

A na Czechów napadać nie chce, bo naród polski oprócz tego, że ma duszę wieśniaka, jest rycerski i nie napada na słabszego.

W zamian za to nasz rycerski naród lubi podskakiwać, czyli „zaczynać” z silniejszymi. Dlatego Piłsudski doszedł do Kijowa. A Batory do Pskowa, choć wtedy w siłach było fifty-fifty. Dlatego nadludziom nie chcieliśmy w trzydziestym dziewiątym oddać Korytarza. Dlatego po wojnie walczyliśmy z mocarzną władzą ludową. Dlatego...

Mamy i długo jeszcze mieć będziemy pretensje do Niemców, że w latach czterdziestych dwudziestego wieku zachowywali się na wschodzie Europy tak, jak Anglicy w osiemnastym nad Missisipi. No właśnie: jak zachowywali się „na wyjeździe” tacy Anglicy, Francuzi, Hiszpanie, Holendrzy i cała zachodnia elita cywilizacyjna? Wszędzie, od Missisipi po Indochiny, zachowywali się tak, jak Niemcy w Europie dwieście lat później. Anglicy, zasypiający z Biblią w rękę i czyniący znak krzyża nad każdym posiłkiem, podbili trzecią część globu, wymyślając przy okazji zbiorową odpowiedzialność i obozy koncentracyjne dla Burów. Tak, tak, zbrodnie ludobójstwa europejskiej elity cywilizacyjnej wciąż jeszcze czekają na swoją Norymbergę. Niestety, nie było wtedy kamer telewizyjnych, aparatów fotograficznych, odbiorników radiowych, magnetofonów i odważnych dziennikarzy...

I nagle Niemcy okazali się barbarzyńcami, bo pierwsi wymyślili cyklon i holocaust!

Pragnienie podbojów, a więc i rzęzi, wciąż tkwi w kanonie moralnym i patriotycznym narodów. I każda zbrodnia ludobójstwa daje się rozgrzeszyć dobrem narodu, obroną jego interesów. Jak to raz jeszcze wyszło na jaw po 17 września 39.

A teraz? Jest tak samo jak dwa wieki wstecz. Tylko obecnie ryzyko staje się coraz większe. Coraz łatwiej nadzieję się na byle Afganistan.

Gdyby Sowietci rozpadli się na 120 narodów i państw, już nazajutrz naród niemiecki, oczywiście błyskawicznie zjednoczony i jak pół wieku temu z napisami na pasach: „Gott mit uns!”, zacząłby egzekwować swoje zamrożone na te 50 lat, odwieczne prawo do

poszerzania przestrzeni życiowej. W którą stronę? Chyba nie w stronę Francuzów, Anglików i Amerykanów razem wziętych!

I znów będzie jak pół wieku temu: silny pożera słabszego. To człowiek zjada zając, a nie odwrotnie. Nikt nie staje przed trybunałem sądowym za to, że zrobił pasztecik z zająca, chyba że go skłusował. Klusownictwo między narodami, choć potępiane, nie jest karalne.

Paru ważnych hipokrytów zaczyna ostatnio głośno rozprawiać o naszym „wspólnym europejskim domu”. Nic nowego. Jużśmy sobie pomieszkali pół wieku na wschodniej połowie tego wspólnego domu. I chwali!

Jeszcze inni prawią o niemieckim poczuciu winy. Tymczasem „prawdziwe” Niemcy miały i mają tylko jedno poczucie — przegranej. Winy z powodu przegranej, a nie z powodu 50 milionów ofiar, zamordowania narodu żydowskiego itd. Rosjanie z kolei stwierdzają oficjalnie, że pakt Stalin—Hitler był „ogromną pomyłką”. A więc nic z poczucia winy. Ot, pomyłka w grze. Wypadek przy pracy.

Stalin był największym w dziejach zbrodniarzem-ludobójcą, nieskończenie gorszym niż Hitler. A to dlatego, że wymordował 40 milionów rodaków wyłącznie w obronie swej władzy. Hitler podbił i mordował obcych. Nie dla siebie, tylko dla swego fanatycznego narodu, dla jego przestrzeni życiowej.

Co nam, maluczkim, z tych historyjek wynika na dziś i na pojutrze?

Ano świadomość doli zajęcej. Kto się urodził zającem wśród myśliwych, niech liczy się z tym, że czeka go pasztecik. Hitleryzm robił z nas pasztecik od września 39 do maja 45, a stalinizm od maja 45 do maja 55. Hitleryzm w proporcji: pół zająca, pół konia (pół Polski, pół Rosji), a stalinizm odwrotnie, czyli pół Polski, pół Europy.

Tak więc przebaczymy i prosimy o przebaczenie.

Za co? Za to, że jeszcze jesteśmy. Ze mimo wszystko jesteśmy.

I oby dobry los sprawił, by kiedyś, gdy w Europie wyrośnie polip jednego totalitaryzmu, natychmiast w pobliżu powstał drugi. Będzie znów szansa, że oba skcccą sobie do gandel.

APEL - ODEZWA

W wielu środowiskach Lublina i wśród mieszkańców naszego miasta narastają inicjatywy wzniesienia w Lublinie symbolu upamiętniającego oficerów z Lublina, którzy zginęli w Katyniu. Aby skoordynować indywidualne działania dające mniejsze efekty, wydaje się konieczne powołanie wspólnego komitetu jednoczącego wysiłki wszystkich zainteresowanych. Zwracamy się więc do lubelskich środowisk, organizacji społecznych, stowarzyszeń, instytucji, osób prywatnych — którzy chcieliby podjąć działania w planowanym Komitecie — o zgłoszenie swego akcesu.

Zgłoszenia przyjmowane będą w siedzibie Społecznego Komitetu Ochrony Zabytków Cmentarnych Lublin — ul. Trybunalska nr 4, tel. 290-03, w dni robocze od godz. 8.00 do 15.00.

Na zgłoszenia oczekiwane będziemy do 25 września 1989 r. a następnie zwołane zostanie zebranie celem powołania komitetu i podjęcia działań dotyczących wzniesienia symbolicznej mogiły na cmentarzu wojskowym przy ul. Białej w Lublinie, w miejscu tradycyjnie już poświęconym przez społeczeństwo naszego miasta, męczennikom Katynia.

Sądzymy, że tylko połączone wysiłki wszystkich zainteresowanych stron pozwolą na wzniesienie grobowca godnego pamięci poległych tam oficerów.

W imieniu grupy inicjatywnej
Marek Wyszkowski

W ODPOWIEDZI PROFESOROWI WIŚNIOWSKIEMU Wojciech Samoliński

W NUMERZE 28/89 „Relacji” prof. Wiśniowski odpowiada na moją polemikę z artykułem prof. Bendera. Odpowiedź ta zawiera jedno nieporozumienie. Otóż podjąłem polemikę z opinią prof. Bendera na temat ordynacji wyborczej, z jego wizją Komitetów Obywatelskich i z jego prognozami na przyszłość nie oceniając całej działalności publicznej prof. Bendera. Napisałem także, że tezy artykułu prof. Bendera raczej potwierdzają niż zaprzeczają słuszności decyzji „S” o nieudzieleniu poparcia jego autorowi w ostatnich wyborach.

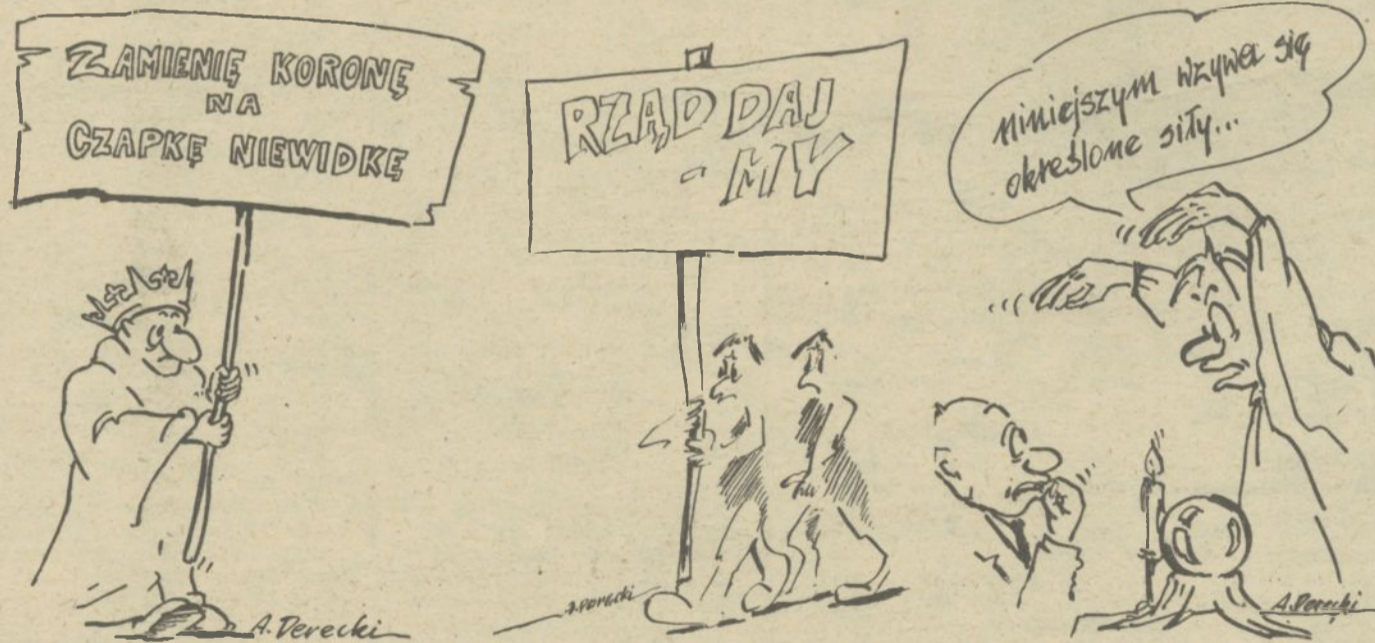
Rozumiem, że nie przekonałem prof. Wiśniowskiego do dwóch moich tez:

1. Ordynacja wyborcza, obowiązująca w ostatnich wyborach, była lepsza niż poprzednie;
2. Komitety Obywatelskie nie są jednorodnie politycznie.

Prof. Wiśniowski, broniąc R. Bendera, przytacza jego zasługi oraz wyraża przekonanie, że w następnych wyborach jego faworyt zwycięży. Co do zasług — dyskusja jest tyleż samo trudna, co jałowa. Sądzę w każdym razie, że prof. Wiśniowski przecenia znacznie sejmowych wystąpień prof. Bendera i zdaje się zapominać, jak wiele kontrowersji, także w środowiskach katolickich, wywołało wejście prof. Bendera do Sejmu z listy krajowej w roku 1985.

Co do przyszłości politycznej prof. Bendera i Stronnictwa Pracy — uważam za jak najbardziej wskazane i naturalne istnienie w Polsce silnej partii chadeckiej. Sukces tego ugrupowania zależy od jego działaczy. Obawiam się tylko, że jeśli jego liderzy z uporem godnym lepszej sprawy będą oskarżać „Solidarność” o nowy totalizm, lewicowe dewiacje, mafijne układy i wszystkie pozostałe grzechy główne, to Stronnictwo może nie odegrać tej roli, jakiej od niego oczekuje społeczeństwo. W tym sensie artykuł prof. Bendera nie zasłużył się dobrze ani „Solidarności”, ani Stronnictwu Pracy.

Z teki Arkadiusza Dereckiego



INAUGURACJA SEZONU ARTYSTYCZNEGO W FILHARMONII LUBELSKIEJ

45 już sezon artystyczny w Filharmonii rozpocznie tradycyjnie Lubelski Wrzesień Muzyczny. Koncert inauguracyjny (1. września, godz. 19) poświęcony jest 50 rocznicy wybuchu II wojny światowej. W programie — odpowiednio do rangi rocznicy — muzyka polska: F. Chopina (Koncert fortepiano-

wy e-moll op. 11), W. Kilara (Kościółec 1909). Orkiestrą PFL dyrygować będzie Adam Natanek, jako solistka wystąpi Elżbieta Karaś-Krasztel (fortepiano).

Natomiast w sobotę (2 września, godz. 19.30) w Kolegiacie w Zamościu odbędzie się koncert inauguracyjny ju-

bileuszczone X Zamojskie Dni Muzyki. Wystąpi orkiestra PFL pod dykcją Adama Natanka oraz Duo Skrzypcowe — Jolanta i Ryszard Osmolińscy. W programie koncertu: utwory J. S. Bacha (Koncert d-moll na dwoje skrzypiec i orkiestrę, Aria na strunie G z III Suitu Orkiestrowej w opracowaniu A. Wilhelmiego) oraz Koncert A-dur na dwoje skrzypiec, orkiestrę smyczkową i klawesyn A. Vivaldiego.

(aw)

W NUMERZE 34 OPUBLIKUJEMY

● „NA LITWIE NIE MA POLAKÓW!” ● BIERUT W KOZŁOWCE ● ANARCHIA NA KRAKOWSKIM ● EKOLÓDZY CZY LETNICY? ● DO ROBOTY?! ● WRZEŚNIOWE DROGI MOŚCICKIEGO I SKŁADKOWSKIEGO ● LUBELSKA WALENTYNOWICZ